



Ksawery Pruszyński
Podrzucona książka

Wydawnictwo Literackie Kraków

PODRZUCONA KSIĄŻKA
PODRZUCONA KSIĄŻKA



POLSKIE OPOWIADANIA WSPÓŁCZESNE

Redaktor serii: Jacek Kajtoch

Ksawery Pruszyński
PODRZUCONA KSIĄŻKA

Wydawnictwo Literackie Kraków



8P&U

WYDZIAŁ NAUK I KULTURY
UNIWERSYTETU W GDAŃSKU

K. 123/
78



90848.

TREBACZ Z SAMARKANDY

Był kiedyś, jak ja, młodszym asystentem przy katedrze historii prawa i wkładał tę samą co ja pasję w *volumina* i *pandecta*, w wilkierze i *rescripta*. Kolejne zimy słały białe gronostaje śniegu na renesans krużganków wawelskich; kolejne wiosny rozzieleniały Sikornik zielenią jeszcze młodszą niż ta z trawników Green Parku. Ale ciemne pokoje gmachu na Gołębiej 20, gdzie zakłady uniwersyteckie gnieździły się od czasów Zygmunta Starego, były zawsze tak samo mroczne, jedynie może na wiosnę bardziej jeszcze wilgotne. A myśmy pisali rozprawę po rozprawie, pracę po pracy. Kiedy pracował nad prawem kulmeńskim, ja zaczynałem moje *Urządzenie włości monarszych na podstawie „Capitulare de villis” Karola Wielkiego*. Kiedy grzebał się w ustawodawstwie miejskim Prus Królewskich, ja kończyłem studium o wpływie Monteskiusza na Konstytucję Trzeciego Maja. Byliśmy w wielkiej zgodzie, bo łączyły nas te same pasje naukowe. Ale mnie coraz bardziej pociągał Wschód naszych najbliższych sąsiadów, ów Wschód republik kupieckich Wielkiego Nowogrodu i Pskowa, Złotej Hordy, z którą kumał się Witold, Girejów krymskich, z którymi korespondowali Jagiellonowie. Tylko że w Krakowie, jak i na Zachodzie brakło dla mnie kluczy do tego tajemniczego świata. On za to do swego miał wszystkie. Jak mnie pociągał Wschód, azjatycki i mongolski, tak jego pociągał umiar,

spokój, chłód i ład miejskiego średniowiecza Europy. W Krakowie, obok arystokratycznego klanu Pałacu pod Baranami, Brackiej i Szlaku Tarnowskich, obok świata profesorskiego, gdzie katedry naukowe były zwyczajowo dziedziczne, niczym kasztelanie w dawnej Polsce, no i jak nieraz stanowiska polityczne w niedawnej Anglii, istniał jeszcze i cichszy, skromny, ale silny w sobie świat mieszczański. Bardziej odpowiadała mu Panna Maria niż katedra na Wawelu, a mieszczańskie domy Grodzkiej bardziej niż pałace. Mój przyjaciel wyrósł właśnie z tego świata.

Młodzi historycy mają zwykle pogardę dla wszystkiego, co określane jest przez nas jako legenda, obrzęd, podanie ludowe i co nie może się wylegitymować świadectwem wyraźnych dokumentów. Mój przyjaciel inaczej. On raczej najbardziej zdawał się wierzyć właśnie tradycji ludowej. Uważał, że przechowywana przez ludzi o umysłach prostych, znacznie mniej ulega skażeniu niż wtedy, gdy biorą ją w objęcia swej fantazji ludzie określani jako wykształceni. Uważał, że jeśli jakąś wersję przechowuje jeden tylko człowiek albo paru ludzi lub kilka dokumentów, jest ona znacznie mniej wiarygodna niż wersja przechowywana przez ogół mieszkańców pewnej wsi, dzielnicy czy miasta i przez masę ludzką przekazywana następnym pokoleniom. Toteż gdy w pewnej chwili zawrzał spór o tzw. lajkonika, mój przyjaciel stanął mocno po jego stronie. Wszyscy znamy historię lajkonika, nie warto jej powtarzać. Dość, że naraz wydłubano nie wiedzieć skąd, iż owa tradycja, z której Kraków był tak dumny, którą tak hucznie obchodził rokrocznie w okresie Bożego Ciała, jest wymysłem na pewno bardzo późnego pochodzenia! Albowiem

nie znaleziono przecież w żadnych źródłach najmniejszego śladu, by Kraków doznał kiedyś takiego właśnie najazdu tatarskiego, o jakim mówi tradycja. Nigdy Tatarzy nie podeszli do miasta niepostrzeżenie i tak blisko, by móc je chcieć opanować podstępem i, co ważniejsza, móc ubić z łuku strażnika na wieży Mariackiej w chwili, gdy ten grał hejnał. Tak samo nie ma wzmianki o tym, jakoby rozgromiono później owych Tatarów, i to tak, że wódz czy książę poległ. Profesorowie, jak wiadomo, nie lubią legend, a lubują się w ściśłości.

Lud krakowski nie bardzo się przejął owymi odkryciami profesorskimi. Po pierwsze dlatego, że żył odgradzony zarówno od Krakowa hrabiowskich koron, jak od Krakowa profesorskich tóg murem obronnym znacznie dawniejszym niż Brama Floriańska. Po drugie, że już raz stoczył bój zazarty a zwycięski o gołębie Kościoła Mariackiego. Ale mój przyjaciel począł kruszyć kopie z dobrą półkopą mędrców zasiadających rokrocznie w stallach Collegii Novi i defilujących w gęstych oparach naftaliny, w purpurze, fiolecie, zieleni i granacie tóg z kościoła Św. Anny do tegoż Collegium. Przypomniiał, że przecież hejnał mariacki był niegdyś grany z baszt na murach miasta i że na jednej z tych baszt mógł być ustrzelony ów trębacz; wywodził, że w kronikach są luki i niedokładności; że jeśli czegoś nawet nie było w kronice, w życiu przecież mogło się zdarzyć. Dyskusja się toczyła, lata też: mój przyjaciel na marginesie innych prac bronił swej legendy.

W roku 1939 powołano go do wojska na ćwiczenia rezerwistów. Pisał do mnie gdzieś z Ostroga: „Zwiedzam Twoje rodzinne strony”. Niebawem miał zwiedzić je w sposób nieco dokładniejszy. Znalazł się bowiem

w Starobielsku, potem w Griazowcu, a wreszcie w Taszkencie. Po dwóch latach poniewierki mundur polowy armii polskiej był wyświechtany, obskubany, wycerowany, ale więcej w nim było sławy niż w niejednym sztandarze, co to nigdy poza defiladami nie widział frontu. Człowiek zszarzał, ściągnął się, ale fantazji nie stracił. Dużo czytał, trochę pisał.

— Szalenie żałuj, żeś tego wszystkiego nie przeżył. Kozielsk, co tam za monastyr! Prawosławny barok! Zjeździłem jako oficer kwaterunkowy całą środkową Azję sowiecką. Co to za wspaniałość! Buchara! Samarkanda!

Był to naprawdę naukowiec, bo najgorsze wszy nie zdołały w nim zabić owej pasji, tak samo jak w Józefie Czapskim nie osłabiły wrażliwości na piękno, na barwę, na światło i linie, tak samo jak w Broniewskim nie odczadziły uroku wierszy Jesienina i Błoka. Siedzieliśmy już w Teheranie, mieście legend Szeherazady, mieście Wschodu, i poprzez tandetę europejską, która tak zachwycała ludzi po wyjściu z Rosji, Wschód nachylał się nad nami i zaglądał nam do okien. A rozmowa stłumiona mówiła o Krakowie, o profesorach, o Stanisławie Estreicherze, którego nie ma, o Kutrzebie, Taubenschlagu, o Adamie Vetulanim, o całym świecie, który się gdzieś zagubił, wymarł czy rozproszył. Żegnaliśmy się. Miałem zajść do niego wieczorem. Powiedział mi jeszcze: — Gdy przyjdiesz, coś ci powiem... coś pięknego ci opowiem.

Mój przyjaciel mieszkał na końcu miasta, u Ormian... Siedzieliśmy na podwórzu domu, pod drzewami, sami. Wiedziałem, że opowie mi coś, jak opowiadał kiedyś w seminarium na Gołębiej 20, o dokonanych właśnie

odkryciach czy spostrzeżeniach. Zaczął jednak opowiadać o Samarkandzie.

— Wiesz — mówił — muszę się przyznać, że gdy nas skierowano znad Wołgi do tamtych okolic, odetchnąłem od razu. Krajobraz takiego Jangi-Julu na przykład — to czasem krajobraz podkarpacki. Czy pamiętasz może Biecz, przycupnięty w górach, omszały? Nie znaleźliśmy naszych miast! Poza tym byli tam ludzie. Być może, że w innych okolicach byli inni, być może, że gdybyśmy byli więźniami, zachowaliby się inaczej, ale teraz ja przynajmniej mogę powiedzieć, że odetchnąłem. Jest to stara rasa, na swój sposób kulturalna i cywilizowana. Ma ową godność, jaką mają mieszkańcy Maroka i Arabowie Palestyny. Myśmy dla nich prócz tego byli synami Lechistanu. Nie ma dla tych żadnej Łotwy, żadnej Czechosłowacji. Nie słyszeli o Holandii, Szwajcarii czy Hiszpanii. Ale o Lechistanie słyszeli. Tak jak my ongi o Turcji. Po tylu wiekach zostały tylko dobre wspomnienia. Może tak będzie kiedyś i po obecnych wojnach. Co krok, co jakieś miasto, meczet jakiś, mogiła, natrafiało się na wspomnienia historii. Nie ma śladów historii w zielonych ostępach Komi, nie ma jej za Uralem, skąpa i młoda jest nad Wołgą. Ale tam, za Morzem Kaspijskim, a ku granicy Persji, historia ułożyła się fałdami tysiącleci. Kraj cały jest jak wygasły wulkan, który przed wiekami lał lawę na świat. Ludy tamtejsze to taka właśnie lawa. Wylewała się ona szeroko i daleko, niosąc wojnę, ogień i mór. Aż zgubiła się w sobie i ostygła. Siedzi to nieruchomo teraz w progu nędznych domostw i czeka na nie wiedzieć co. Nawet rewolucja nie przeorała jeszcze tego marazmu do dna. Wschód. Otóż nas, Polaków, wojsko, wita-

no, powiedziałem ci, niezmiernie serdecznie: Uzbekowie, Tadżykowie, Kirgizi, wszyscy. Ale dopiero w Samarkandzie rozpływano się w gościnności typowo wschodniej, orientalnej, nasiąkniętej jakimś tajonym interesem. Interes był rzeczywiście bardzo dobrze utajony. Nie wyszedł nawet wtedy, gdy zapytano nas ni to z głupia frant, ni to nie wiedzieć co: — Jesteście synami Lechistanu, prawda? — Jesteśmy. — I jesteście żołnierzami, prawda? — Jesteśmy. — Kilku starszych, o pomarszczonych, poźółkłych na brąz twarzach, zadumało się, raz jeszcze stwierdziwszy to, co wiedzieli przecież od dawna. Po czym pytali dalej jakby od niechcienia: — I wierzycie w Boga? W swego dawnego Boga, tak? — Wierzymy, księży mamy, o, patrz, krzyże nosimy — odpowiedzieliśmy. Starzy ludzie popatrzyli na wyjęte z zanadrza krzyżyki. Takie z puszek po konserwach wycięte. Zdawało się, że ich to dziwnie raduje. Tu przyszło nowe, dość niespodziane pytanie, już jakby śmielsze, już idące wprost: — A trębaczy macie? — Mamy! — Jak wiesz, instrumenty muzyczne mieliśmy bardzo prędko, rozumiesz przecie, jak by wyglądało polskie święto pułkowe czy defilada bez orkiestry. Nie wiem, jak tam u was w Szkocji, ale u nas tego nie brakło... Po przerwie Uzbekowie rzekli: — Bo my mamy tu do was jedną wielką prośbę... Jeśli jesteście z Lechistanu i jesteście żołnierzami... i wierzycie w swego Boga... i macie trębaczy... czy nie moglibyście jutro wieczór kazać waszym trębaczom, by zatrąbili na naszym starym rynku? Na wprost meczetu, w którym leżą prochy wielkiego Timura? — Zgoda. — Starzy podziękowali, dziwnie, jak na Wschód, krótko, i odeszli. Jeszcze, odprowadzeni, spytali w progu: — Czy na pew-

no zagracie? — Zagramy. — Nazajutrz uświadomiliśmy sobie, że jest to czwartek, przeddzień mahometańskiego świętego dnia, i pamiętam, że ktoś w oficerskiej stółce zwrócił nawet na to uwagę, że może ma to jakiś związek. Ale naprawdę poczuliśmy to dopiero wieczorem. Pułkownik, który lubi takie rzeczy, postanowił godnie wystąpić. Trębaczy wypucowano, jak się należy, trąby, wszystko, a jakże. Wieczorem przed meczetem w Samarkandzie, słynnym meczetem, gdzie spoczywają prochy Tamerlana, czerniał tłum tak zbity, tak gęsty i tak nieruchomo czekający, jak tylko na Wschodzie azjatyckim czekać może. Zupełnie zastygł. Falował tylko pomrukiem. Nawet przyległe ulice i bazy, wszystko to było zapełnione. Jedyne przed meczetem widniała niewielka, otoczona mrowiem łysina pustego bruku. Ku niej podeszli trębacze. To było miejsce dla nich. Zagrali raz, drugi i trzeci. Zagrali pobudkę wojskową, zagrali jakiś apel, zagrali wreszcie hejnał. Nasz mariacki. Pamiętasz, jak grano go w Tatiszczewie w grudniu? Wiesz dobrze, jaka jest ulica w takiej Samarkandzie czy innej Bucharze. Otóż wtedy nie było nic z tego wrzasku, rejuwachu, wobec którego nasze Nalewki czy Kazimierz były oazą cichości. Oni naprawdę zmartwieli. Muzyka na nich tak działała czy co? W milczeniu słuchali, w milczeniu się rozeszli. Aleśmy wtedy już zrozumieli, że coś w tym jest. No i zaczęliśmy tropić, wietrzyć, węszyć. Żaden z naszych domorosłych szpiclów — a przyznasz, że u nas w ostatnich czasach ta branża dziwnie się rozmnożyła! — tak nie wietrzy, tak za słowa nie łapie, tak w cudze życie nie wścibia się, jak my wtedy. Ale ludzie Wschodu byli nieprzeniknieni. Nie chcieli nic powiedzieć.

Przyjaciel uśmiechnął się:

— Pierwsze wygadały się kobiety... — uśmiechnął się pięknymi, młodymi zębami, których nie zgryzł szkorbut. — Z relacjami świadków jest jak z relacjami w archiwach. Znajdziesz coś w Jagiellonce, porównasz z czymś w Raperswilskiej; znajdziesz coś w Raperswilskiej, porównasz z czymś w Kórniku. Byle było zahaczenie. Zahaczeniem było to, co mi powiedziała owa dziewczyna. Potem wygadali się starzy ludzie, ci, co to znali lepiej.

Pamiętam, już się ściemniło zupełnie i na ścianie ormiańskiego domu były cienie od księżyca błękitne, kiedy mówił dalej:

— Jest, okazuje się, w Samarkandzie pewna legenda. A raczej prorocstwo. Otóż oni kiedyś brali udział wspólnie z Tatarami w najazdach na Polskę. Rzecz zrozumiała, że brali, bo skądże by takie masy parły na nasze kraje w czas najazdów? I oto raz dopadli do miasta, „które u was — tak mi powiedział Uzbek — jest tym samym, czym u nas (to jest tamtejszych Tatarów) Samarkanda...”

— Kraków? — zapytałem nagle.

— Nie wiem; tego mi nie powiedział i nazwy legenda nie podaje: mówi tylko, że bardzo stare i bardzo bogate miasto...

— Jeśli bogate, to nie Kraków.

— Przepraszam: w ich pojęciu także Samarkanda jest bogatym miastem.

— No, jeżeli Samarkanda... — przyznałem.

— ...bardzo stare i bardzo bogate miasto, stolica kraju. I miasto święte. Właśnie z jednego z minaretów — jak oni mówią — tego miasta trąbiono modlitwę.

Tatarzy podkradli się pod same mury. Chcieli miasto wziąć przez zaskoczenie. I wtedy...

— Toż to lajkonik!

— Uważaj! I zaledwie trębacz mógł zaalarmować miasto, gdy strzała z tatarskiego łuku przeszła mu gardło. Zginął, ale zaalarmowane miasto obroniło się. Tatarzy ponieśli klęskę.

(Dziś, kiedy sobie spisuję tamto teherańskie opowiadanie, przychodzi mi na myśl, że przynajmniej raz źródła dziejowe dwóch narodów opisują to samo wydarzenie w identyczny sposób. Wtedy, w Teheranie, mogłem myśleć tylko o legendzie.)

— Więc to naprawdę nasza legenda?

— Poczekaj. Ale czy wiesz, dlaczego chcieli, żeby nasi trębacze zagrali w ich mieście na wielkim placu, u progu meczetu?

— Dlaczego?

— Ano wyobraź sobie, że owi Tatarzy mieli ongi szlachetny zwyczaj spisywania dokładnych raportów po każdej wyprawie. Jaki miała przebieg, jak długo trwała, jak wojowali przeciwnicy, gdzie łup był najbogatszy w bydło, a gdzie w kobiety. Raporty takie były po powrocie do ojczyzny stepów poddawane badaniom jakby komisyj, gdzie zasiadała starszyczna, a więc i kapłani. Szczególnie pilnie badano raporty, jeśli wyprawa poniosła klęskę. Tym razem przyczyny klęski zbadano tym dokładniej, że zginął w niej jakiś król-wicz tatarski, syn wodza czy coś takiego. Zupełnie więc jak w naszej legendzie krakowskiej. Jak widzisz, czasem legendy mają rację. Kapłani nie biedzili się długo nad swą wyrocznią. Orzekli oni niebawem, że klęska była spowodowana karą nieba za to, że w czasie gdy

miasto zabierało się do modlitwy, przzerwano znienacka jego pacierze. Nie wiem, dlaczego tak właśnie orzekli. Może dlatego, że wszyscy kapłani mają poczucie solidarności, może dlatego, że nie znaleźli innych przyczyn chcieli w ten sposób wyrazić to, co my nazywamy *vis maior*. Dość, że tak orzekli. I dodali jeszcze odpowiednię nader ponurą dla tych wszystkich ludów: „Czyn wasz — mówili — ześle na was karę nieba. Nie będziecie tratowali cudzych ziem co wiosnę, nie będziecie zdobywali obcych miast, królestwa wasze upadną, na gruzach meczetów chwast porośnie i sława stepowa w zapomnienie padnie. Jednak i dla was zabłyśnie słońce pomyślności. Ale nie nastąpi to, zanim trębacz z Lechistanu nie zatrąbi na rynku w Samarkandzie pieśni, której wtedy nie skończył”. Tak powiada legenda samarkandzka. I tak wierzą wszystkie plemiona mongolskie od Tiań Szaniu po brzegi Morza Kaspijskiego. Duch Dżengis-chana błąka się po stepach Azji.

— Więc to jest autentyczna legenda?

— Cóż to znaczy: legenda autentyczna? Bywają dokumenty autentyczne lub podrobione, nie ma autentycznych lub podrobionych legend. Legendy nie mają metryki. Kraje nowe nie mają legend; kraje stare je mają. Legenda fermentuje w mózgu paru pokoleń jak wino w kadziach, nabiera siły. To pewna, że tutaj nikt nie słyszał o Krakowie, o hejnale, o naszym lajkoniku. Ale mieli legendę, która jest jakby połową naszej legendy.

Jak w naszym klimacie odnajdujemy ich stepowe wzory, tak w rysunku owej legendy odnajdujemy ślad naszej.

W zmierzchu niebieskim nocy, pod białą, wyblękit-

niałą ścianą, Kraków nagle zesuwał się na obraz Sa-
markandy. Wieża Mariacka, Rynek, Gołębia, Planty.
Opadała zasłona przestrzeni i czasu. Zmalały gdzieś
mille i wieki. Pomiędzy dalekim Krakowem a niemal
legendarną Samarkandą poczynał się więc wzorzysty,
jednakowy dla nich i dla nas rysunek wspólnej legendy.



RÓŻANIEC Z GRANATÓW

For Susan

Był to mój trzeci kolejny szpital, już w Anglii, i przywieziono mnie nocą, i umieszczono na jedynym wolnym łóżku. W szpitalu nie było poza tym wolnych łóżek i wszystkie sale były pełne, i stało w nich więcej łóżek, niż powinno było stać. Był to czas, kiedy codziennie napływali setkami tacy jak ja, z dywizji, o których było w pismach, że „*they are closing the Falaise gap*”*, a także tysiącami tacy z Włoch, o których w tych samych dziennikach, ale o trzy tygodnie wcześniej, było powiedziane: „*they effectuated a very deep break through on the Ancona sector*”***. Była noc, a na sali ostry zapach jakichś lekarstw i mdły cierpiącego ludzkiego ciała, jakim nie czuć ciała ani w koszarach, ani w więzieniu, ani w okopach, ale tylko tam, gdzie są rany i gdzie ciało cierpi. Było także mdłe, przymglone światło i wszystko było białawe. Leżałem wysoko na wózku, wyprostowany, i mało mogłem widzieć, gdy mnie przekładano na łóżko. Potem mogłem widzieć jeszcze mniej, bo bolało mnie ramię, całe poszarpane, i bok jeszcze pocięty, a do łóżka przygwaźdżał mnie ciężki, jedenastokilowy gips, założony na pęknięte od wstrząsu kręgi w plecach. A jazda przedtem była długa i męcząca.

* „zamykają wylom pod Falaise”

** „głęboko wdarli się na odcinku Ancony”

— To jest Polak, obok pana, także — powiedziała siostra.

I nachylając się nade mną, doszeptała jeszcze:

— *He is not very well, poor boy, I don't think he will have it for very long.*

Co znaczyło, że długo nie pociągnie, ale omyliła się. Następnego rana żył jeszcze, a następnego wieczoru było mu jakby lepiej. Mnie z rana było za to niedobrze. Widziałem, jak na drugim końcu sali obstawili łóżko jedno białym parawanem wokół, a że znałem już zwyczaj szpitalne, więc zastanawiałem się tylko, o co tu chodzi: naturalna potrzeba czy koniec. Ale nie otworzono okna i tylko po jakichś dwudziestu minutach przystawiono wózek, a potem wytoczono go z sali, tak samo jak przytoczono przedtem mnie, gdy przyjechałem, a także jak wytoczono w cztery dni potem na zeszyte rany ramienia. Wózek był zasłonięty białymi płótnami, tak że nie widziałem wcale twarzy człowieka, co skończył tak blisko. Potem łóżko zasłano. Na obiad już tam leżał ktoś nowy.

Twarzy Polaka przy mnie także nie widziałem długo, bo on się nie ruszał, a ja prawie nie. Ale jego łóżko było tuż przy moim i jego szafka nocna między nami, i z niej zwisał zawieszony przedmiot, który mnie zastanowił. Był to różaniec. Nie to było nadzwyczajne, że był to różaniec, dużo dziwniejszy był rodzaj tego różańca. Był to różaniec z granatów. Małe, ciemnoczerwone ziarnka były nanizane jedno za drugim, jak zwyczajnie w różańcu. Rzadko widziałem w życiu różańce z granatów; a jednak przypomniałem sobie, że widziałem takie, i męczyłem się, aby sobie przypomnieć — gdzie. Kiedy się tak leży nieruchomo, człowiek wdraża się myślami



we własną pamięć, aż znajdzie. Znalazłem! Kiedy człowiek jest ranny i uświadomi to sobie, to maca ciało i kości, aby wiedzieć, co mu dolega, a co wyszło cało. Kiedy człowiek przeszedł przez gorączkę i był nieprzytomny, to bada, czy jego myśl i pamięć nie przestała działać. Działała. Tak. Różańców z granatów nie robi się ani w Polsce, ani we Francji, ani we Włoszech nawet, ani w Holandii, choć wszystko to są kraje katolickie i wszędzie tam odmawia się różaniec. Jest tylko jeden kraj, gdzie nawet z przedmiotów do nabożeństwa robi się klejnoty, bo tam religia i zbytek od dawna łączą się razem, i w kraju tym słyszałem o różańcach z pereł, a widziałem różańce z ametystów i — najpopularniejsze — różańce z granatów. Było to w Hiszpanii. Poczuję się lepiej, ale chłopiec za to poczuł się gorzej. Mogłem się nieco podnieść i widziałem, jak leżał na wznak, wyprostowany. Miał bardzo młodą i bardzo białą twarz, rysy nieregularne, jakieś brwi nierówne i czoło szerokie, otwarte. Oczy miał przymrużone i tylko czasem jakiś skurcz poruszał te oczy i zbieleżałe, popękane wargi. Miał ludową polską twarz i może pasował do niej różaniec, ale nie z granatów.

W nocy niepokoił się i rzucał, co było niebezpieczne o tyle, że miał przestrelone jedno płuco i także naruszoną wątrobę. Siostry nie chciały mówić wyraźnie, co mu jest, bojąc się, aby nie dosłyszał, a także dlatego, że tak chce regulamin. Ale wiedziałem, że walczy o życie, jak to się mówi, że raz jest lepiej, a znowu drugi raz gorzej. Sam ranny, człowiek obojętnieje na cudze rany i śmierć. A jeszcze ludzi, których się nie widziało i nie znało inaczej niż w szpitalu. Kiedy człowiek sam gorączkuje i bóle wracają na niego falami — miewa

zachcenia. Jeden u nas kiedyś wołał po nocy o kiszoną kapustę; inny chciał wody, ale ze studni. Mnie męczyła po nocy historia tego różańca. Przypomniała się naraz Hiszpania, płowa, surowa, pachnąca oliwą, Hiszpania wojny domowej. Był wieczór, kiedy temperatura się podnosi, i zacząłem sobie nucić bezwiednie dawno zapomnianą nutę, smutną, bardzo hiszpańską: „*Siempre en guardia, siempre en guardia*” * — powtarzałem sobie strzępy zwrotki. Białe łóżko obok poruszyło się. Posłyszałem jakby jęk; ale to nie był ból: to tylko usta odwykłe od śpiewania stroiły się tak, jak się stroi instrument. Za chwilę jęk przeszedł w pieśń. Bolało mnie, ale podniosłem głowę, jak tylko mogłem. To wtedy nie było dużo, ale dosyć jednak, by coś widzieć. Widziałem, jak na twarzy pojawił się ruch jakby. Opierzchłe usta wyrzucały z siebie, z trudem na pewno, ale wyraźnie, całkiem wyraźnie, dalsze słowa zwrotki. Pamiętam dwa słowa *joven guardia*. Wymawia się *choven*. Znaczy: młoda gwardia. Wiedziałem już, że leżał przy mnie członek Brygad Międzynarodowych, pewno z Polskiej Brygady, trzynastej, imienia Jarosława Dąbrowskiego.

— Dąbrowszczak? — zapytałem.

— Aha...

Odmrużył oczy. Były szare, przedziwnie świetliście szare. Patrzyły pytająco, ale nie bardzo przytomnie. Opadłem na poduszkę sam i nie widziałem ich. Głos przestał nucić. Słyszałem tylko oddech jego, niespokojny, przez nos, świszczący jakby, i miałem prawie zadzwonić na siostrę, bo bałem się, czy on... Ale to pewno było wzruszenie jakieś. Może nie wiedział przed-

* „Zawsze na straży, zawsze na straży”.

tem, że Polak tu leży albo że tamto posłyszysz. Pewno za silnie potrąciło to struny jakichś wspomnień. Ale oddech ścichł, stał się miarowy. Myślałem nawet, że usnął, ale po długiej chwili posłyszałem naraz głos tak cichy, jakby brzęczenie:

— Kolega?

— Co wam?

— Nnnie... Wiersz? Czy pamiętacie? Wiersz?

Mówił wyraźnie: wiersz. Cicho, ale zupełnie wyraźnie. Prosił o jakiś wiersz? Jaki? Ktokolwiek by słyszał ten jego głos, taki cichutki, słaby jak pajęczyna jaka, nie odważyłby się spytać, jaki wiersz. Nie chciałem i ja i szukałem myślą. „*Arriba parias de la tierra*” * — zacząłem. Łóżko się poruszyło. Nie wiem jak — poznałem, że to nie to. Zobaczyłem ruch ręki, białej, znicruchomiałej ręki na kocu. I znowu ten słaby, męczący się głos.

— Nie... nie... nie to. Polski wiersz. Polski. O jednym... chłopcu takim... co porzucił chatę... u nas mówili... w Albacete.

Teraz na mnie napłynęła fala wzruszenia ciepłego pod gardło. Wiedziałem. Jak mogłem nie wiedzieć!

Było cicho owego wieczoru i pola zielone za oknem przesłaniały się błękitnawym zmrokiem. Szedł ciepły, sierpniowy wiew przez otwarte okna. Wyganiał zapachy szpitala.

W ciszy tej, cicho i wyraźnie, zacząłem mówić wiersz prośby, jak opowieść:

Jechaliśmy stępa,
pędziliśmy w kłębach
i „Jabłoczko” piosnkę

* „Wyklęty, powstań, ludu ziemi”.

trzymaliśmy w zębach.
Ach, piosnkę tę dotąd
na pewno pamięta
malachit stepowy,
murawa pomięta.
Lecz inną pieśń jeszcze
o obcym narodzie
towarzysz do siodła
przytroczył w pochodzie
i śpiewał, choć rodak,
tutejszy jak ja:
— Grenada, Grenada,
Grenada moja!

— To? — spytałem cicho. Spytałem głupio. Podniosłem się i widziałem jego twarz. Była to twarz człowieka, który ma widzenie, którego teraz nie boli nic, dla którego ani cierpienia nie ma, ani śmierci. Poruszył głową:

— Tak, tak... dalej.

Czy pamiętałem dalej Tuwimowski przekład wielkiego wiersza Swietłowa? Złąkłem się. Dawno go nie mówiłem. Teraz był tak potrzebny! Wolniej, bo z namysłem, zacząłem mówić dalej:

Na pamięć tę piosnkę
jak pacierz znał Pański.
I skąd do molojca
ten smutek hiszpański?
Kijowie! Poltawo!
Od kiedyż w te strony
przybyły z Grenady
hiszpańskie canzony?
Nie w twoimż to zbożu,
Ukraino, śród żniwa,
Tarasa Szewczenki
papacha spoczywa?
Więc skąd, przyjacielu,
w piosence twej lka:
— Grenada, Grenada,
Grenada moja!

Mówiąc męczyłem się, czy pamiętam. Czy nie urwę w połowie, w ćwierci. Przystanąłem. Od łóżka — posłyszałem coś. Spojrzałem. Po żółtej, nieżywo już żółtej twarzy spływały wolno długimi strugami łzy.

— Dalej... dalej...

A chochoł-marzyciel
po małej chwileczce
powiada: „Grenadę
znalazłem w książeczce.
Wysoki to honor
tak piękne mieć imię,
jest powiat grenadzki
w hiszpańskiej krainie.
Ja chatę porzucił
i walczyć szedł po tom,
że ziemię w Grenadzie
ja oddać chcę chłopom.
Zegnajcie, najmiłsi,
powrócę, Bóg da!”
— Grenada, Grenada,
Grenada moja!

Od łóżka szedł chwilami cichy ogromnie szloch, tak cichy, że aż wierzyć było trudno, że może go wydawać dorosły człowiek. Ale on był już czymś innym niż dorosłym człowiekiem: był trochę jak bardzo słabe dziecko. — Dalej, dalej — prosił i mówiłem cały długi wiersz.

Świt wstawał na niebie,
by znowu się schować...
I koń się utrudził
po stepie cwałować.
Lecz „Jabłoczek” szwadron
wciąż grał bez wytchnienia
na skrzypcach epoki
smyczkami cierpienia.
I gdzież, przyjacielu,
podziła się ta
— Grenada, Grenada,
Grenada moja!

Naraz, nie wiem czemu, to mnie przypomniła się nie Hiszpania, lecz nasza Normandia i czołgi mego pułku, 10 pułku, brnące gdzieś pod Falaise przez pszenicę normandzką. Mówiłem, jak poznali „dokładnie gramatykę boju i słowa armatnie”, a potem, jak „na ziemię od kuli zważyło się ciało” i jak „rozstało się z siodłem, a nigdy nie chciało, nad trupem się księżyc potoczył jak łza i wargi martwiejąc szepnęły: Grenaa...”

Cała ballada rewolucyjna, wyśniona w 1917 gdzieś nad Donem, nad Manzanarem w dwadzieścia lat potem echem wojny odbita. Jego wojny.

Było już ciemno zupełnie i nie mówił już nic. Zasnął. Myślałem, że może mu to zrobić źle albo dobrze. Zrobiło dobrze. Spał twardo, na drugi dzień było wyraźnie lepiej.

— *Here, you are a good boy* * — mówiła siostra odkładając termometr. Tylko młodszy doktor milczał sceptycznie.

Mnie też było lepiej. Posadzono mnie na łóżku i oparto o poduszki. Miałem coś do wyjęcia z kieszeni battle-dressu i kazałem go sobie podać. Zobaczyłem biorąc, że jego oczy spoczęły na czymś i zdumiały się czy zmroziły. Na naramienniku widoczna była gwiazdka.

— Oficer?

— Tak — kiwnąłem głową — podporucznik.

Milczał chwilę: tak trudno mu szło mówienie. Może się zmęczył, może zawahał. Po chwili, patrząc głęboko tymi swoimi bardzo szarymi oczyma, zapytał:

— Byliście... pan porucznik był... w której kompanii? Mickiewicza? Palafoxa?

* Jesteś dobry chłopak.

— Nie. Nie byłem w żadnej kompanii.

Szare oczy nalały się zdziwieniem:

— Toście nie z Hiszpanii?

— Z Hiszpanii. Byłem w Hiszpanii podczas wojny. I z wami. Ale się nie biłem. Pisałem. Jako korespondent.

— Korespondent? A myśmy nie mieli oficerów. Nam tak trzeba było oficerów! Byłoby inaczej pod Saragossą...

— Ciszej, ciszej! Nie mówcie tyle!

Ale on urwał sam. Dyszał. Nie rozumiał, ale się zmęczył. Patrzył długo, długo, tym nieruchomym wzrokiem, jaki mają ludzie, co nie mogą mówić, ale jeszcze nie zdołali do tego przywyknąć. Patrzyłem na niego i raz jeszcze oczy mi zbiegły na ten różaniec; może dlatego, że jego ciemnoczerwone ziarnka odbijały od tej całej białości szpitalnej. On zobaczył ten mój wzrok. Uśmiechnął się i powiedział:

— To też... z Hiszpanii.

Uśmiechnąłem się i ja.

— Wiem.

— Kto wam... kto panu porucznikowi powiedział?

— Nikt. Ale takie różańce z granatów są tylko w Hiszpanii i nigdzie indziej.

Kiwnął głową:

— Tak... Dlatego...

Oczy jego pobiegły za różańcem. Znowu uśmiechnął się.

— Wie pan — mówił z trudem — gdyby nie ten różaniec... dawno bym nie żył... A tak — uśmiechnął się — dopiero teraz... Całych siedem lat... wygrałem... na tym różańcu takim...

Zadyszał się i znowu nie mógł mówić, a nawet teraz stało się jeszcze inaczej, bo poruszał ustami, ale usta nie wydawały dźwięku. Ale po kwadransie jakimś zaczął mówić, potem znów ustał, potem mówił, aż póki nie przynieśli obiadu. Przespawszy się trochę, mówił znowu, z ciągłymi przerwami, aż do wieczora. Opowieść była tak samo w strzępach jak on sam. Ale strzęp po strzępie dały się one zeszyć. Oto była jego historia:

Rodzice pochodzili z Polski, spod Wolbromia, i brat starszy, i siostry dwie pamiętały jeszcze Polskę, on — nie, choć się był jeszcze w Polsce urodził, ani siostra trzecia, która przyszła na świat w Larièges koło Lens nad Kanalem, już nie znała nawet Polski. Rodzina znalazła wiele biedy, jak tylu emigrantów z Polski, szukających chleba w kopalniach na północy Francji albo w fermach na jej południu. Ojciec był tam czymś w lokalnym CGT, znał Jouhaux i kiedy wybuchła ta wojna z Hiszpanią i szli Polacy, Jędrak — starszy brat — poszedł także. Było mu dwadzieścia dwa lata, Jędrkowi, był ranny zaraz na początku, ale lekko, i posyłał kartki do nich do Francji i swoją fotografię, kiedy przeszedłszy przez kurs w Albante został *teniente*. Piękny był chłopak Jędrak i dla niego, Józka, taki dobry zawsze. Dobry, mądry brat. Matka płakała, och, jak płakała, gdy przyszło z Polskiej Brygady, że Jędrak poległ na czele swej kompanii, na samych przedmieściach Alcalá de Henares. Na wiosnę samą 1937. Matka mówiła, że to kara Boska, bo matka była jeszcze z tych starych. — Po staremu — mówił — myślała. On, Józek, wtedy poszedł. Za brata tego. Za Jędrka. Matka nie wiedziała. Poszedł.

Dalsze strzępy opowieści były porozrywane niezmier-

nie. Czasem myślałem, że majaczy. Uniósł się. Nawet podniósł ten swój głos. Wynikało z tego, że był w Brygadzie Dąbrowskiego niedługo, jakieś kilka tygodni. Zrobili nocny marsz na Saragossę. O świcie byli pod miastem. Słyszeli, jak faszyci bili w dzwony na trwogę. Ale potem przyszły samoloty i drogą wyszły czołgi, i uciekali górami. On z drużyną błądzili trzy dni, aż wpadli na tamtych. Reszta drużyny uszła, on i dwóch zostało. Tamci dwaj — na śmierć.

On dostał z boku strzał przez plecy, w łopatkę. Kiedy przyszedł do siebie, był wieczór, ciemno, leżał na słomie, obok inni jęczeli. Była to jakaś stajnia czy obo-
ra, czy piwnica. W drugiej izbie palił się ogień i w jego świetle w drzwiach Józek zobaczył żołnierza w takiej *capo* na plecach i z takim bagnetem na karabinie, jaki tylko mieli tamci. Faszyci. Zmartwiał. Przy ogniu w tamtej izbie siedzieli ludzie, których nie widział, bo siedzieli w kucki na ziemi; ale naraz podeszło do tamtych ze dworu dwóch innych żołnierzy. Teraz dopiero zmartwiał. Mówili do siebie chrapliwym, obcym językiem, a jeden miał na piersi, na mundurze, sznurkiem — jeden na drugim — jak medale pozawieszane zegarki. Mieli twarze czarne i brodate i białe zawoje. Byli to Maurowie z Rifu. — Ja się tylko dziwił, czemu nie zabili mnie tam — opowiadał Józek.

Tajemnica niezwyklej łaskawości się wyjaśniła. Na drugi dzień przyszedł oficer w granatowej, szamerowanej kurtce, gruby ksiądz i dwaj *requetes*. Byli młodzi i mieli czerwone berety. Jeden nie mówił prawie wcale po hiszpańsku. — Oficer wy dobył z kieszeni ten różaniec i spytał, czy to mój, skąd go mam i żebym powiedział całą prawdę. Czemu nie miałem jej powiedzieć?

Więc powiedział, że w Albacete, gdzieś stali, robili taką antyreligijną *representación* *. Maskaradę. Żołnierze. I jeden zawiesił sobie ten różaniec. Pewnie go gdzieś zrabował. Mnie się żal zrobiło i powiedziałem, żeby mi go dał. Dać nie chciał, ale sprzedał. I stąd mam. Jednemu tylko już nie powiedział, gdzie sobie ten *miliciano* ten różaniec powiesił. I tego, po com go odkupił. A odkupiłem dla matki. My zawsze, jak z domu gdzie jeździli, to matce gościniec przywozili, a jeszcze teraz, kiedy przeciw niej do Hiszpanów poszedłem. I myślałem, że matka nigdy takiego pięknego różańca nie miała ani nie wiedziała, że takie są. Ale tego wszystkiego im nie powiedział. Oni posłuchali, a potem ksiądz mnie spytał, czy wiem, że to grzech kupować rzeczy kradzione, a do tego święte. A ja mu na to — bom nie był tak słaby jak tera — że pewno jeszcze większy grzech nie kupić, jak inni ze świętych rzeczy pośmiewisko se czynią. I wszystkom mu wtedy wygarnął, i ksiądz był czerwony jak piwonieje, co u nas przed domem rosły, a oficer to z krzykiem i pejczem na mnie skoczył. A ja nic, bom sobie myślał: „I tak zabijają, niech się nie męczę, jak inni się męczyli”, i tylko że mówię, co było, bo mnie pytali, to niech się nie sierzdzą. I że mi o ten różaniec i tak wstręty czynili w brygadzie, tyle że kapitan Kowaczek ujął się za mną. I żeby mi go oddali, bo to nie jeich, a mój, żem go zapłacił. Pyskaty wtedy byłem. Zobaczyłem też, że ci dwaj drudzy, *requetes* znaczy się, nie mówią nic, ale tak jakoś patrzą, jakby moją stronę brali. I ten obcy mówił z tym drugim na stronie, ale widziałem, że nie

* przedstawienie

po hiszpańsku. Potem spytał mnie, czy znam francuski. Powiedziałem *que oui* * i on mnie zapytał, po co przyszedłem tu się bić. A ja: *et vous pourquoi?* ** Oficer powiedział, że mnie zapłacono, a ja — że pewno mniej, niż jego płacą. Myślałem, że mnie zabije, ale jakoś z tym obcym się liczył. A tamten znowu: czy wierzę w Boga? Powiedziałem, że wierzę, ale jak na różaniec patrzę i jak matkę wspomnę, a jak takiego księdza z coltem do sutanny widzę, to już nie wierzę w nic. I naszła mnie taka słabość, jak teraz czasem. A gdy przeszła — to ich już nie było.

Ale potem miałem ranę przewiazaną i dostałem jeść, a wieczorem zaszedł ten obcy *requete* — pokazał przepustkę żołnierzowi u drzwi — i przykląkł przy mnie. Pytał, czy czego nie trzeba, ja mówiłem, że nie, bo i tak nas rozstrzelają, a on mówił, że nie i że to czerwoni mordują jeńców, a oni — katolicy — nie, to ja się śmiałem i tych ośmiu, co leżało — też, z wyjątkiem dwóch, co już od południa przestali się ruszać. Jemu było przykro i mnie jego zrobiło się żal. A był wtedy młody jak moja siostra, ta druga, Janka. Powiedział, że jest Irlandczykiem; że zawsze słyszał, że Polacy są dobrzy katolicy, a że walczyć tu przyszedł za wiarę. Spytałem: za jaką? czy za tego grubego księdza z coltem u boku? A on odpowiedział, że nie, ale za takie różańce jak ten, które z ręki pobożnych wydarto na pośmiewisko. To mnie było żal. I powiedział mi jeszcze, że nasza drużyna nacięła się na ich stanowiska i że to był ich karabin maszynowy, z któregośmy dostali. Inni Irlandczycy byli za falangistami: ale oni są kato-

* że tak

** a pan po co?

licy i poszli do *requetes*. Nosił taki szkaplerz, jaki znajdowaliśmy na piersiach poległych *requetes*: z Sercem Jezusa. Duży. Czerwony. I powiedział, że zawiadomił Polaków o mnie.

To była prawda, bo jakoś w trzy dni później przyszli po mnie. Myślałem, że wyprowadzą tak jak innych, bałem się, tak, wtedy to się naprawdę bałem. Nie miałem nikogo, by być na niego zły, jak wtedy z tym księdzem i oficerem. Ale mnie nie związali, przetarli twarz mokrym ręcznikiem, wsadzili nawet do auta. Nie ciężarówka, ale auta. Za chwilę byliśmy w mieście. Ma wąskie ulice, do góry takie, klasztorów a pałaców pełno, wszystko z kamienia. Było ciemno i tylko w witrynach była wszędzie uśmiechnięta gęba tego ich Franco i dziewczyny chodziły z żołnierzami na *rambli* *. Dziwno było patrzeć. Myślałem sobie: „Ot, ludzie żyją i chodzą, a tobie, Józek, koniec”. Wtedy dziwno było myśleć, że mnie nie będzie, ale świat będzie jak był... Dziś wiem. Auto stanęło na placu przed jakimś pałacem czy hotelem bardzo oświetlonym. W bramie stało na warcie czterech takich czarnych w za-wojach, z karabinami w kosmatych łapskach. Zwierza takie. Na mnie to patrzyli — zjedliby tymi zębami żywego. Ale puścili do środka. Oficer był ze mną i dwóch *regulares*. Była sala i światła, i pełno mundurów, potem korytarz — jeden, drugi, trzeci. Mijaliśmy jakąś jadalnię jak refektarz: były białe obrusy i szkła, zbierano talerze i zapachniało baraniną i oliwą! Myślałem, że mnie zemgli. Głodny byłem. Ale pędzili dalej. I wreszcieśmy doszli. Z korytarza były oszklone drzwi,

* spacer

a za nimi duży pokój. Fotele, dywany miękkie wszędzie, portrety czarne takie, stare po ścianach i wielki komin, a na nim ogień. I było ze dwudziestu może oficerów. Siedzieli, gazety czytali, gadali bardzo głośno. Byli i nieoficerowie, a wyglądali na oficerów. Mój oficer wszedł do środka. Trzasnął tymi obcasami, spytał jakiegoś grubego, siwego pułkownika; ten się rozejrzał i wskazał na stolik. Bo były trzy stoliki: w karty sobie grali, skurwysyny. Wskazał na pierwszy. Oficer podszedł i zagadał do jednego grającego, w cywilu. Serce mi zabiło. Powiedziałem sobie: to musi być Polak. Tamten wstał. Ci, co z nim grali, odłożyli karty. Wtedy zobaczyłem, że tylko jeden z nich, też starszy, na pierśsiach z całą tęczą orderów, jest Hiszpan, ale dwaj inni — nie. Jeden — poznałem — Włoch. Włoskie mundury znałem z kina. Drugi miał jakiś zielonkawy, wcięty mundur. Cywil zagadał coś do mego oficera, ale ten w zielonym coś się wtrącał. Nie wstawiał, ale zrobił ruch taki jak rozkaz. I wprowadzili mnie.

Jak wszedłem — zrobiło się cicho, a ja, jak popatrzyłem do lustra, zrozumiałem dlaczego. Lustra były duże, na całą ścianę, i zobaczyłem, jaki byłem: czarny, zarosły, włosy długie, a moje granatowe *mono* milicjanta republikańskiego podarte i brudne. A wokół same ich jaśnie państwo. Ale mnie zmroziło i stanąłem hardy — niech tam! — i byłbym tak stał, ale ten zagadnął: — Polak? — To na tę polską mowę, jakem ją posłyszał, to mnie zmiękło. — Polak — mówię. — Z Polskiście? — Z Francyjei. — A on popatrzył na mnie i gada: — A ile wam dali, żeście tu poleźli? — O Jezu! Tak mi powiedział jak tamten, a Polak. To mnie to tak zaraz zatkało w gardle z żalości i stoję;

one się gapią, a ja tylko myślę, że nie, niech co chce, nie będę płakał. Ale on widział i pewnie pomyślał, że mnie skrzeszył, bo mówi: — Teraz to żałujecie. Wstyd Polsce tylko przynosicie wszyscy. Czerwienić się za was trzeba. — Ale się nie czerwienił, tylko głos podniósł. Jakby chciał, żeby widzieli drudzy. A potem jakoś zmiękł. — Czego chcecie? — zapytał. Ja już nic nie chciałem, tylko żeby mnie od tych świateł i od tych luster, i od tych panów zabrali, alem wyjęczał z siebie: — Polak jestem... — A on znowu z ostrą, jakby na całą kompanię krzyczał: — Nie jesteście już żaden Polak: bolszewik jesteście, bolszewik. Rzeczpospolita się was wszystkich wyparła i wyrzekła. Rzeczpospolita pozbawiła was obywatelstwa. To macie, na coście zasłużyli. Odmaszerować — I tak mnie wzięli, ale jeszcze przez drzwi widziałem, jak siadał z powrotem do kart, ale wzburzony jednak taki, a ten czarny Włoch i ten zielony, i inni mu potakiwali coś, zadowoleni. A mnie było wstyd i wstyd, i wstyd, i jak szedłem koło tej sali, gdzie jedzeniem pachniało, a byłem głodny — to słowo daje — nie mógłbym nic wtedy ruszyć, nawet gdyby dali. Ale nie dali nic. — Nic ci twój major nie pomógł — zaśmiał się w aucie oficer. A ja nie powiedziałem nic. Tylko myślałem: major? W cywilu był. Major? A ojciec bił się w dwudziestym roku! Słowa na wojsko polskie powiedzieć nie pozwalał! Major! Polski major! Pewno był obserwatorem jakimś czy korespondentem jak pan...

Ta część opowiadania kosztowała go najwięcej. Reszta była łatwiejsza. Wypluwał ją z siebie kawałami jak krwawą plwocinę suchotnik. Nazajutrz rano okazało się, że po tej wizycie zapadł w gorączkę. Irlandczyk go odwiedzał; a potem jeszcze dwaj inni jego koledzy.

Warta puszczała, bo mieli przepustki, a potem — bo przywykła i że papierosy angielskie im dawali. I jakoś trzy dni potem przyszli pod wieczór, ale w szczęściu, pokłęczeli przy nim i naraz nasunęli mu na głowę beret taki, jak mieli sami, narzucili taką samą opończę i popod ramiona wyprowadzili. Była noc i wartownik był opity, a drugi w ogóle nie pytał. Przed domem stało ciężarowe auto i siedzieli na nim inni. Byli to wszystko ochotnicy irlandzcy, jak ten pierwszy, i na mocy jakiejś umowy międzynarodowej mieli wracać do Irlandii. Wielu z nich to ranni, ze szpitali. Rano byli w San Sebastian. Na widok ich mundurów nie było żadnej kontroli; jeszcze ich kobiety eleganckie, uperfumowane obrzuciły kwiatami, słodkimi *pastas*, medalikami. I wtedy mu Irlandczyk oddał jego różaniec. Byli też księża i błogosławili im. — A ja się tylko bałem, żeby gdzie mego grubego nie zobaczyć: on by mi pobłogosławił! Bo mnie tu obdarowali i obmodlili najhojniej, jako żem najbardziej ranny. — Wieczorem statek był już na morzu. W dwa dni później znaleźli się w Dublinie. — O, to złoty naród Irlandczycy. I, widzi pan, zbawił mnie różaniec.

Naopowiedział mi tyle dnia tego, iż myślałem, że jest mu naprawdę lepiej, i ze skrucą wysłuchałem przy opatrunku w ambulatorium łajania siostry Knight, że męczę go gadaniem. Ale nadszedł doktor, spytał, o czym mówimy, i wysłuchawszy powiedział, że nie. Że nic. Niech mówi. I ja mogę mówić. To mu sprawia ulgę. A zaszkodzić mu już więcej nie może. Powiedział też, że ma w jego sprawie list. — To był jakiś dzielny chłopak: ocalił życie swemu pułkownikowi. Piszą do mnie o jego stan: ma tu ktoś przyjechać go dekorować.

Napisałem, żeby się pośpieszyli. I pan niech będzie dobry dla niego do końca. *It won't be very long. Niedługo, poor boy.**

Wróciwszy z ambulatorium przyjrzałem mu się uważnie. Doktor miał rację. Jego ręce na kołdrze stały się bardziej żółte i przeźroczyste, i przyschłe do kości, a oczy podkrężyły się sino. Tego dnia mówił już mało. Prosił, żeby mu jeszcze powiedzieć *Grenadę*, i mówiłem mu ją dwukrotnie. Drugiego dnia odzywał się jeszcze mniej. Ale koło południa na końcu sali zrobił się ruch i brzęk jakiś. Leżący popodnosili głowy. Zobaczyłem, jak idzie doktor, siostra i wskazują na nas dwom oficerom, i powiadają, żeby iść ciszej. Ale oni — widać — nie zrozumieli albo nie umieli iść ciszej. Zobaczyłem polskie odznaki.

Wieloletni attaché wojskowy polski w różnych stolicach, pułkownik dyplomowany N., był w swej roli. Był zarazem wyniosły i ojcowski, surowy i dostoyny, bojowy i wytworny. Miał ręce w rękawiczkach z żółtego *peccary*, a piersi całe w orderach, a elegancki porucznik w wysokich butach był jakby uzupełnieniem jego rękawiczek, orderów i akselbantów. Była to ceremonia najwidoczniej tak dla niego pospolita, jak dla księdza śpiewanie mszy. Zabierał się do niej z godnością.

— Kapral Łaptak Józef? — upewniał się.

Ranny jakby podniósł głowę. Nie mówił nic, ale jakoś zmrużył z wyteżeniem oczy. Patrzył w twarz pułkownika. Ten był z kolei ojcowski.

— Skądżeście, Łaptak?

Ten nie dosłyszał widać, bo jakby go zatkało, tylko

* To nie będzie długo... biedny chłopiec.

patrzył coraz uporczywiej. Pułkownik dobrotliwie powtórzył raz jeszcze:

— Z Polskiście?

— Z... z Francji.

Coś naraz niesamowitego było dla mnie w tym głosie, w pytaniu tym, odpowiedzi. Gdzież ja to kiedyś słyszałem? Ale pułkownik był uroczysty:

— Kapralu Józefie Łaptak! Na polu walki z odwiecznym wrogiem naszej ojczyzny zachowaliście się jak prawy i nieodrodny syn naszej wspólnej matki Rzeczypospolitej Polskiej. Przynosicie dumę waszej rodzinie i całemu polskiemu wychodźstwu we Francji. W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej z rozporządzenia jej władz najwyższych otrzymaliście Krzyż Walecznych!

Miał go w ręce i prawie, prawie że nachylał się nad Łaptakiem. Ale naraz wyprostował się znowu. W oczach Łaptaka było coś nieprzytomnego tym razem. Myśleliśmy, że schwytał go nagły ból albo wzruszenie za silne. Aż pułkownik, przerażony, zapytał:

— Co wam, Łaptak? Słyszycie mnie?

— Słyszę — szepnął ranny tym swoim cichym, wyraźnym głosem. — A pan major... pan major... mnie poznaje?

Pułkownik ściągnął brwi. Męczył się. To nieładnie nie poznawać. Królowie i wodzowie muszą mieć pamięć twarzy. Wyraźnie się męczył. Począł nadrabiać: — Tak, Łaptak, rzeczywiście, zaraz no, zaraz, czekajcie... Gdzież to ja was ostatni raz...

Od łóżka szedł szept jak syk:

— Pan major mnie tylko raz... To było w Tudeli... Tudela... — powtórzył. — A ja byłem...

Twarz pułkownika stała się naraz ciemna, tak napły-

nęła krwią. Cofnął się o krok od łóżka. Opuścił rękę z orderem. Przystojny adiutant patrzył oniemiały: on jeden tylko nie rozumiał, co się stało. Ale pułkownik to człowiek bywały. Opanował się. Zaczął mówić zupełnie innym niż dotąd głosem. Ani uroczystym, ani ojcowiskim, ani wodzowskim. Jakimś dziwnie ludzkim:

— Ach, to wy, wtedy... Przykro mi... Ja... doprawdy... Przykro...

Adiutant patrzył oniemiały na swego wodza. Pewno go nigdy nie widział takim. Ja podniosłem się. Patrzyłem na twarz Łaptaka. Znikło z niej napięcie sprzed chwili. Zjawił się tylko bardzo smutny, jesienny uśmiech... — Zdarza się... tak, to ja... dobrze... dobrze... ale... niech pan major... już mnie i teraz... zostawi... mnie... już niedługo...

Miał rację. Rzeczywiście było niedługo. Lekarz też miał rację. Jakoś ledwo w godzinę potem przysunięto biały parawan, przyszedł ksiądz, czarnooki dominikanin w szerokiej białej sutannie pod czarnym płaszczem, i wsunął się w szumie tej sutanny za parawan. Przyszła siostra i doktor i mówili do siebie cicho, aż nie słychać było jego głosu. Leżałem naskuchując, kiedy siostra podeszła do mnie i podparła mnie: — On chce pana jeszcze zobaczyć. — Myślałem, że mi coś powie, ale poruszał tylko wargami. — Józek, Józek — powiedziałem i myślałem, że może chce tę *Grenadę*. Ale siostra potrząsnęła głową. — On już nie może mówić, on już nie słyszy. On jeszcze tylko widzi. Może mu pan zrobi jaki znak? Jakiś polski znak. — Polski znak? Nie znałem żadnego polskiego znaku. Ale naraz uświadomiłem sobie, że jest jeden znak, jakiego sam nie robiłem, który moim nie był, ale który temu człowiekowi wchodzące-

mu w śmierć przypomni to, co było jego młodością i jego wiarą, i jego ofiarą, i jego wzlotem, i najpiękniejszym, i najbardziej gorzkim w jego młodym, dopalającym się życiu. I tak, aby ją widział, póki jeszcze widzieć będzie, podniosłem pięść zwiniętą w kulak, pięść, jak oni podnosili ją w Hiszpanii. Tak. To był znak. I trzymałem ją tak na jego oczach, aż odwracały się w górę, stawały znieruchomiełe i szklane, i nim nie włożyłem mu — na zawsze — tego jego wykupionego różańca.

PODRZUCONA KSIĄŻKA

„A Was spotykają i ugaszczają, i śpiewają Wam pieśni Wasze, bo czują, że Wy wojujecie za wolność świata.”

Od Sekwany załoga czołgu „Nelly” przeszła, jak powiadali w plutonie, na niemieckie metody walki. Niemieckie metody walki nie były aluzją do słów w rozkazie dowódcy dywizji; były tylko wspomnieniem zgorzzenia, jakie w załodze czołgu „Nelly” wywołały w swoim czasie, jeszcze pod Jort, przy przeprawach na sennej rzece Dives, wnętrzości pewnego niemieckiego Tygrysa. Bestia był jednym z tych trzech Tigerów, jakie wylazły na Jort i ustrzeliły dwa Cromwelle ze szwadronu drugiego, u rotmistrza Gutowskiego. W jeden z Cromwellów Tiger ze szczególną zaciekłością wpakował kolejno aż cztery pociski z działa 88. Jakby w tym Cromwellu siedział kto ważny! Zajadłość nie popłaca nigdy, w czołgach zaś najmniej, toteż Niemiec dobijając trupa nie dostrzegł, że tymczasem z boku nadjechała „Nelly”. Kiedy zaś dostrzegł, było już za późno. Pierwszy strzał „Nelly” poszedł nieco za płoty; wałnął w nasadę wieży, z tym jednak wynikiem, że przestała się obracać. Długie działo Tigera nie mogło się zwrócić w stronę „Nelly”, a nim cały czołg ruszył z miejsca, „Nelly” poprawiła swój pierwszy strzał, i poprawiła dobrze. Trzech Niemców porozlepiało się po prostu, kawałkami oczywiście, po żelaznych ścianach czołgu. Reszta jakoś zwiła. Przysiadłszy, Tiger został tak na polu i nazajutrz załoga „Nelly”, a także kilka innych

załóg ruszyły się pogapić. Było na co. „Nelly” podstawiona pod bok Jego Germańskiego Majestatu Tygrysa wyglądała jak psiak przy saint-bernardzie. Z więżą nie dostawała lufy działa. Panthery i Tigery miały w 10 pułku strzelców konnych należyty respekt. Ale teraz wzmógł się on jeszcze.

— Harhara taka, jak kamienica jedna na Mostowej w Wilni — jęknął kierowca Ambroży, dla którego Wilno pozostało nadal właściwą miarą wszechrzeczy.

Natomiast jego najbliższy towarzysz, bo strzelec przedni, Józek, zajął się szczegółowiej zawartością Tigera i wlaźł do jego wnętrza tą właśnie drogą, którą przedtem uciekli Niemcy. Nie uznano tego za czyn roztropny; może być jaka niemiecka pułapka. Załoga „Nelly” odsunęła się nieco na bok. I naraz istotnie śmignęło coś z klapy; na ściernisko, zdeptane i rozryte, wyleciała torebka damska. Paryska, żółta, z prawdziwego *peccary*. (Ma ją teraz jedna znajoma Józka z Dundee i całe miasto podziwia ów dowód polskiego męstwa.) Po czym w ślad za torebką wyleciał z czołgu bal różowiułkiego jedwabiu, najlepszego, lyońskiego, potem taki sam w rzuciki, potem damskie koszule, potem pantofelki damskie, nowiuśkie, jeszcze w tekturowych pudełkach. Była nawet firma: „Honoré Galorean et Fils, Brest”. Wreszcie ukazał się sam Józek. Wymachiwał tryumfalnie złotogłową butelką „Veuve Cliquot”. Wieczorem nie tylko od załogi „Nelly” jechało szampanem i perfumami Guerlaina.

Odkrycie dokonane przez Józka, a zapisane na karb licznych już wyczynów 10 pułku, wywołało swoje echa.

— To już nie są żołnierze — powiedział Baca.

A słowa Bacy były w pułku święte. Tak, rabusie może, raubrittery, ale nie żołnierze, powiadano sobie. Z nagrąbionym mieniem uciekali do domu i nie zdążyli.

Ale nie wszyscy ujmowali sprawy tak żołniersko i od-
tąd, jeśli żywe czołgi niemieckie budziły jeszcze lęk, to ustrzelone wywoływały ogromne zainteresowanie. Okazało się, że wnętrza Panther są istotnie przepastne i posiadają niezwykle różnorodną zawartość. Skrzynki z amunicją musiały ustąpić miejsca bardziej pokojowej zawartości — jedwabiom, trzewikom, wyrobom, jak się mówi w Polsce, galanteryjnym. Dział winny i branza perfumeryjna były szczególnie obficie reprezentowane. Porucznik, hrabia L., załamywał ręce:

— Takie wina dla tych niemieckich chamusiów! A perfumy! I „Sous le vent”! I „Cuir de Russie”, i „Dans la nuit”. Ach, Boże! Co te łotry zrobiły z tą nieszczęsną Francją! No, dajcie mi tę butelczynę i tamte trzy także. Trzeba coś uratować z rozgromu.

W odróżnieniu od wielu innych załóg, nie mówiąc już o dragonach, a tym mniej o piechocie, w załodze „Nelly” górowało jednak uczucie pogardy. — My nie będziemy nigdy tacy — stwierdził podchorąży. Wprawdzie Józek, strzelec przedni, coś tam chciał rzec, ale Ambroży, kierowca, tylko nań popatrzał. Wystarczyło. Nie, nie. Było jasne, wydawało się jasne, że „Nelly” będzie i nadal rozpruwać kałduny niemieckim czołgom, jak temu przed Jort, ale że ani ich zawartością nie będzie się zbytnio zajmować, ani sama nie upodli się do tego stopnia, by ładować w siebie szampany, guerlainy czy damskie jedwabie.

Ale los się mści na nas zawsze, toteż niebawem spar-

tańska surowość 10 pułku została narażona na ciężką próbę. Od Sekwany pułk poszedł znowu na czoło dywizji, korpusu, armii — i walił przez cały dzień, blisko sto kilometrów wprost przed siebie, aż popod dymiące w dole Abbeville. To był rajd! Na drogi wybiegała ludność i wtedy wiedziano, że Niemców nie ma; albo nie wybiegała i wtedy załoga Cromwella czepiała się swych stanowisk. Ale tam, gdzie ludność witała, tam podbiegały kobiety niosąc jabłka, kwiaty, butelki wina — i powoli wszystkie te dary, z wyłączeniem kwiatów, składano w głębiach czołgu. Wieczorem Ambroży skostatował, że tak go obstawiono butelkami, iż nie może prawie prowadzić wozu, a potem z radiotelegrafistą i strzelcem głównym, kapralem, tym od działka, sporządzili inwentarz. Były tam calvadosy i armaniaki, były koniaki, burgundy, sauterny, beaujolais, znane zło-togłowe szampany akurat tych samych marek, a nawet roczników, co znalezione poprzednio w rozbitym czołgu. Porucznik-hrabia, który zawsze znajdował się tam, gdzie strzelały baterie butelek, był tym widokiem niezwykle pokrzepiony na duchu:

— Jednak mojej Francji nawet Niemcy nie dali rady — orzekł.

I tylko Józek zauważył sceptycznie:

— Coś mi się zdaje, panie podchorąży, że jak tak dalej, to my będziemy tak trochę wyglądać jak tamten Tiger, cośmy mu dogodzili pod tym Żor...

Musiano mu dopiero unaocznić tę zasadniczą różnicę, jaka zachodzi między tym, co jest dziełem rabunku, a tym, co stanowi dowód wdzięcznych uczuć alianckich. Ale Józek nie bardzo rejterował:

— Rabunek nie rabunek, uczucia nie uczucia, a tam

butelek pełno i tu butelek pełno. Prawda, galanterią jeszcze nie rzucają ani biustonoszamy, ani jedwabiamy. Ta i różnica.

Nad Francją dogasał skwarem słońca i łunami pożarów sierpień, sierpień jabłek, żniw, wyzwolenia i wojny, a pułk 10 strzelców konnych imienia Jana Maciejowskiego rznął na Saint-Omer. Ze sztabu dywizji przychodziły co wieczór nowe mapy, na sieci radiowej każdy dzień przynosił nowe kryptonimy i nim się przyzwyczajono do jednych, już jutrzejszy dzień przynosił nowe. Kolejno każdy ze szwadronów wysuwał się na czoło pułku — i wiedział wtedy, że idzie pierwszy, pierwszy z całej dywizji, korpusu, armii, że rżnie przez Francję na samym, samiuśkim czele całej sławetnej B. L. A., jak pisano na kopertach, czyli British Liberation Army — Brytyjskiej Armii Wyzwolenia. Czarny prostokątny proporczyk dowódcy pułku z cyfrą 45, furkoczący wysoko nad czołgiem, był pierwszym sztandarem alianckim, jaki się pojawił na tych drogach od lata zgrozy, hańby i żalu, lata 1940. Pułk szedł napelniając powietrze Francji łoskotem swych gąsienic po jej asfaltowych drogach, wpadając na Niemców uciekających wozami jednokonnymi, płosząc ich z kafejek, zrzucając samym swoim pojawieniem się z jakichś skradzionych damskich rowerów, w ten bowiem niezbyt tryumfalny sposób odbywał się pośpieszny *Heimkehr* nowoczesnych Nibelungów. Tam, gdzie był opór, łamano go, Potężne działa Cromwellów załatwiały się szybko ze zjadliwym ujadaniem niebezpiecznych kiedy indziej mózdzierzy. Mogły nawet nieboszczyków z grobu wydobyć! Tak było raz, gdy pluton porucznika Edwarda Rożka wyje-

chawszy na górę dostał z dwóch stron ognia moździerzy. Trzy lufy długich dział jego Cromwellów momentalnie zwróciły się na lewo — i tam, gdzie był sad i skąd zaszczekały moździerze, wzbily się zaraz czarne rozprysła ziemi, wcale nie tak, jakby to skądś padły tam pociski, a tylko tak, jakby to z tamtego sadu trysła pod górę trzema wulkanami zbuntowana ziemia Francji. I nim ten kurz czarny opadł, już z sadu — czy z tego, co było sadem — zabielały w powietrzu dziesiątki kornie podniesionych rąk. Tylko machnięto im ręką wskazując kierunek marszu — na zachód! — i już lufy plutonu zwracały się na drugą stronę szosy. Porucznik Rożek przeżył chwile wahania; celowniki wskazywały na cmentarz. Przykro było zakłócać spokój zmarłych aliantów, ale ogień moździerzy z tej strony zbliżył się podejrzanie, toteż trzy działa oddały swą straszliwą salwę prosto w cmentarz. Teraz przed lunetami czołgów, w rdzawej kurzawie, śmigwały w powietrzu nie tylko połamane drzewa, ale jakieś krzyże kamienne, gipsowe aniołki, kraty, a — co gorsza — całe trumny, naraz wyrzucone z głębi na wysokość kilkunastu metrów. Cmentarz był tuż przy drodze i jego zawartość wysypała się i na drogę, tak że leżały poniżej, u jej skraju, patrząc oczodołami pustymi, pomieszane pospołu, stare francuskie trupy i nowe niemieckie. Trzy czołgi Rożka były już tymczasem daleko. „Nelly” także. Właśnie spełniła się była przepowiednia Józka i przeszli na to, co nazywał „niemieckimi metodami walki”. Coraz więcej było miejscowości, w których już były wykwitły z powrotem, podnoszone automatycznie za zjawieniem się polskich czołgów, francuskie *tricolore*, w coraz większej ilości miasteczek i wsi ludność nie kryła się już, ale

wybiegała na drogę, pijana wolnością. Była nią naprawdę pijana; była to radość i szal, i rozrzewnienie do łez samych, i złość, kamienna, zażarta złość, i czasem na małych rynkach, pod jakimś pomnikiem poległych z tamtej wojny, w *Marsyliance* był szczęk gilotyny, a w oczach ludzi z *maquis* jakobińska zaciekłość. Cromwelle wtedy jechały wolno, ostrożnie, powoli i ludzie biegli za nimi, ludzie podawali ręce załodze, ludzie mieli oczy czerwone od łez i błyszczące szczęściem i ludzie prosili czołgi pułku, aby stanęły na chwilę, i ludzie mówili: „*Nos libérateurs*” *. Ale czołgom było śpieszno naprzód i zostawiali innym kafejki, paradowania i gadania. Więc Francuzi poczęli znosić, co mogli: jabłka, wina, kwiaty, kwiaty, jabłka, wina, jakiś spocony rzeźnik przytryndał szynkę, jakiś staruszek obwieszony medalami z tamtej wojny — wianko kielbas, i kiedy wieczorem, zgrzani, opaleni słońcem, szarzy od kurzu, bezmiernie zmęczeni dniem i bezmiernie szczęśliwi szczęściem innych, oparli się o nową rzekę i stanęli obronnym obozem — nie trzeba było otwierać żadnych już puszek.

Ambroży, zapobiegliwy wilnianin, liczył zapasy spiżarni.

— Kab półgęsek jeszcze wileński abo kielbasy z czasykiem, ale tu pewno nie umiejo ci co.

— Porzundny naród Francuzi — konstatował Józek, strzelec przedni.

— Mówiłem wam: Francja — przypominał podchorąży, który, jako coëtquidańczyk, czekał dopiero na swą gwiazdkę.

* Nasi oswobodziciele.

Radiotelegrafista i strzelec przedni nie wzdychali za tym, czego nie ma, nie oceniali odzyskanego alianta i nie propagowali Francji. Po prostu żarli. Ale jak by tam żarli, jak by tam zapijali winem, a poprawiali słodką benedyktynką — nie zdołali zlikwidować całodziennego dorobku. Ambroży z Józkiem spakowali, co zostało, tak by się butelki nie potłukły, a reszta jedzenia nie pozaciekiała smarami. Znienawidzone corned beefy oddali Francuzom z sąsiedniej farmy. Ci rozptywali się w podziwie nad hojnością Polaków.

— Nietrudny ten ich naród — powiększał zasób swych doświadczeń kierowca Ambroży.

Nazajutrz rano pułk miał macać przeprawy na owej rzece; kierunek był teraz na Saint-Omer. Wśród map dosłanych ze sztabu dywizji pojawiły się mapy nowego kraju: Belgii. Na rzece były zaznaczone cztery mosty i jeden problematyczny bród i plutony rozjechały się, aby uchwycić mosty, jeśli ich Niemcy nie wysadzili, i trzymać. Rzeka płynęła malowniczo, jakby w jarze, tworząc zakola i zalewy, i Ambroży dostrzegł w niej pewne podobieństwo do Wili tuż koło Werek. Ale Wilia, rzecz jasna, była piękniejsza. Teren był pofalowany, jak mówiono jeszcze na odprawie, i rzeczywiście były to wzgórza, wzgórki, dolki, jarki, i wszędzie tam siedziały domy, farmy i wsie. Niemców przedzielała rzeka, toteż ludność, nie bojąc się niczego, wyległa tym skwapliwiej. Od cofających się oddziałów którejś dywizji SS dowiedzieli się wczoraj, że nadchodzą Polacy, i na domach obok chorągiewek trójkolorowych bielily się i kraśniały polskie. Przyjazd czołgów nie był jak gdzie indziej niespodzianką walącą się naraz z góry po latach czekania na tę chwilę. Słyszano i widziano je, jak wie-

czorem dobiły do rzeki i stanęły obozem opodal. Wiedziało, że się zjawią z rana albo przed południem. Czekało na nie na drogach, dzieci wypadały na rozpoznanie, staruszki wynosiły stołki przed domy i siadały mrucząc oczy w słońcu, przyczłapywał czarny *Monsieur l'abbé* i uroczysty *Monsieur le maire*. Była to nie tylko uroczystość, była to także zabawa. Że zaś miano czasu pod dostatkiem i że w departamencie Pas de Calais mieszkała ludność praktyczna, przeto nikt nie przychodził witać Polaków *avec le mains vides**. O, nie! Wiedziało też, że żołnierz nie żyje samym słowem w rozkazie czy gazecie, poranną rosą, uśmiechem kobiecym, a nawet kwiatami, ale nieco bardziej konkretną konkretnością. Zaczne Katany miały też jedną rękę wzniesioną do witania, a w drugiej dzierżyły swe dary. Śmiało się z góry słońcem francuski sierpień, dyszały wonią owocu sady — i tylko czasem znad rzeki zastukała jakaś krótka seria jak poderwana nagle z tataraku cyranka.

W sprawach życiowych załoga „Nelly” stanowiła swojego rodzaju kolektyw, gdzie większość decyzji, poza bojowymi, zapadała umownie, niejako automatycznie, narzucona zwykle przez okoliczności. Tak było i tego właśnie dnia, kiedy jeździli od mostu do mostu szukając długo takiego, którego nie zdążyli wysadzić Niemcy. Zbyt długo jechali drogami i wsiami, gdzie wylegała ludność, żeby nie dostosowali się do nowej sytuacji. Bo ludzie w czołgach — to nie automaty, nie stupaje bezmyślne, nie muje-salutuje, ale ludzie z rozpoznaniem. Z pomyslnikiem. A nowa sytuacja narzuciła członkom załogi nowe funkcje. To prawda, że kierowca prowadził

* z pustymi rękoma

czołg jak dawniej (tyle że swą klapę miał otwartą i musiał uważać, by nie najechać na nadmiernych entuzjastów); ale Józek, strzelec przedni, w ogóle nie był na swoim przepisowym miejscu. Siedział na zewnątrz czołgu, z boku, oparty o błotnik, z nogami opuszczonymi w dół, do wnętrza. Jego ręce, zamiast być u uchwytywów karabinu maszynowego, wędrowały nieustannie, jak kran portowe czy żurawie w dokach, od tłumu do wnętrza czołgu i z powrotem. (Tę drogę powrotną odbywały oczywiście puste). Ach, ręce Józka! Trzeba było widzieć te łapska, długie, czerwone, małpie, prawdziwe łapy powiślaka albo muranowszczaka, jak tak zataczały półkola z lewa w prawo, od tłumu do czołgu, jak chwytaly w locie podawane butle, paczki, kosze, zawiniątka i rzeczowo, systematycznie i szybko składały je w niezgłębionych czeluściach czołgu jak w piwnicznych sklepach. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Aż utrudził się Józek, pot mu się lepił na czole pod tym czarnym beretem ze srebrnym orzełkiem na nim. (Nie zdjął go, jak by to pewno niejeden inny ćmoj zrobił: niech wiedzą, że Polacy!) Gdyby tłum naokoło był bardziej zdolny do chłodnej obserwacji, zauważyłby, że Józek nie pracuje bezmyślnie. Jego ręce nie wyciągały się bezmyślnie do każdego podanego daru. Wybierały. Butelki szampana, łatwe do odróżnienia od innych, miały niewątpliwie *priority* przed wieloma innymi — chyba że Józek dostrzegał taką, która patrzyła na calvados albo kirsch. Na podstawie jakichś nieznanych, tajemnych kryteriów dostrzegał jedne paczki przed innymi, wiedział, które wystarczy cisnąć gdzieś na dno czołgu, a które starannie złożyć. Po francusku nie umiał ani słowa z wyjątkiem *oui*, które wymawiał za to wielekroć, oczy-

wiście jak polski „łój”. Hałas gąsienic, silników, głosy ludzi nie nadawały się też do oracji, ale Józek niezmoderowanie wołał:

— Łój, łój, łój! Dawaj, dawaj twoje szampańskie, Katanie patriotyczny, dawaj, dawaj! Te, nie pchaj mi flachy w rękę, kolejki się pilnuj. Łój, łój, dziękuję paniusi, dziękuję. O, to, to, więcej takiej świńszczyzny, a prędeż będziemy w Berlinie. Ambroś, kaszanka, jak Pana Boga kocham, kaszankę bauer dowalił! A o de kołoń dla narzeczonej szkockiej macie? O de kołoń? O de kołoń? Ziela nie wal, córuchna, ziela mi nie pchaj na oczy, czołg nie trumna paninej babci. O, z tą tobym poszedł na ksiuty, jak Boga szczerze kocham, jakby był postój jaki. Zara, zara, łój, łój, merci, bązur, nie pchajcie się, kaźden swoje złoży, nic się nie bojta, dobry narodzie aliancki!

Aczkolwiek niezrozumiałe i zagłuszone, przemówienia improwizowane Józka robiły znakomite wrażenie. Czołg stwierdziwszy, że i ten most Niemcy zerwali, ruszył na nowy kierunek. Stanąwszy na rozdrożu podchorąży porównywał teren i mapę. Józek tymczasem wyciągnął praktyczne wnioski z zakończonej przed chwilą akcji bojowej.

— Ambroś, jak mi nie będziesz jechał wolniutko przez ten nowy wilaż, to jak Pana Boga mego kocham, nie nadażę. Już teraz ze trzy koniaki zostały! Mnie, rozumie się, nie o te koniaki tak chodzi, ale o to, że Francuzom, aliantom, sprzymierzonym, k... ich mać, Francuzom nie mogliemy przecie despektu robić. Co się spieszyć, wojna się kończy czy co? A nam to się inni może spieszą?

A zwracając się do wieży, dodawał:

— Antosiek (był to radiotelegrafista), mógłbyś te jabłka w locie łapać, jak będą rzucali. Ja nie podolałam z tym drobiazgiem. Jabłka dobre. Kaczkie jedną mamy, to mogłaby za gęś z jabłkami biegać, jak będzie gdzie postój.

Tylko strzelec główny, sterczący zbyt głęboko w wieży, nie nadawał się do nowych zadań czołgu. Ale już dla dowódcy „Nelly” Józek miał odpowiednią funkcję.

— Panie podchorąży! A niech pan podchorąży tak stoi prosto we wieży i saltuje co razu. Ale tak i na prawo i na lewo. Jak ten ich de Gaulle w Paryżu. I uśmiechać się, jak jaka lepsza. To bardzo dobrze robi, uczucia alianckie wzmacnia i szpyry nam przymnoży. Reprezentacja grunt!

Następny most także wysadzili niegodziwi Niemcy, o czym przez radio zaraportowano do pułku, a z pułku do dywizji. Wiadomość ta nie zrobiła, jak się zdaje, dobrego wrażenia ani na szczeblu pułku, ani na szczeblu dywizji, ale Józek nie ulegał przesadnemu pesymizmowi. Okoliczność, że pomiędzy alianckim a niemieckim brzegiem były już dosłownie spalone mosty, działała bowiem znakomicie na wzrost powitalnych nastrojów, co z kolei nie pozostawało bez wpływu na zawartość czołgu. Kiedy rozpoznawano na trzeci most, Ambroży musiał już odgarniać wszystko na bok: kierowcy brakło miejsca.

— Nic to, po corned beefach, sucharach i innym puszkowym paskudztwie nareszcie będzie jakieś ludzkie wcinanie — uspokajał Józek.

A inni byli jego zdania, bo istotnie nadojadło to wszystkim.

Trzecia miejscowość była jakaś większa, bogatsza, jakieś zamożne i widocznie dystyngowane panie cisnęły się do auta, jakiś emerytowany francuski generał, pięknie wyprostowany, z siwym wąsem, ucałował w oba policzki czerwonego jak piwonia podchorążego. Okazało się, że zna Coëtquidan, poznał kiedyś generała Sikorskiego i należał do „Amis de la Pologne” w Nancy. Podczas tych zwierzeń Józek nie zaprzestał zagarniania owoców zwycięstwa i wyciągania lepszych wyników z polsko-francuskiej przyjaźni, niż robiła to (większym kosztem) nasza dyplomacja. Na jedno patrzył tylko krzywo: na kwiaty. Jak na złość, kwiatów było tu pełno i obczepiono nimi wszystkie trzy czolgi plutonu. Obwieszono lufę działka, wieżę, błotniki, reflektory; wszystko, w co tylko dało się wetknąć kwiaty. Ambrożemu do klapy wpadły olbrzymie piwonie, wciśnięte jakąś energiczną ręką: dobrze, że nie róże; podrapałyby mu twarz. Toteż kiedyczołg wyjechał w pole, był cały barwny, obetkany różami, astrami, margerytkami, powojami, groszkami, nasturcjami, kwiatami z bogatych ogrodów i skromnymi kwiatkami z miękkich pól za Sommą, i tak jechali w tej kolorowej rozchwiei, naprawdę ukwieceni Francją. Józek narzekał, żeczołg wygląda jak karawan pierwszej klasy, ale podchorąży nie pozwolił zrzucić kwiatów. Jakże? Tymczasem było już po południu i, przeprowadzeni przez miejscowych chłopaków, którzy z największą frajdą obsiedliczołg, dotarli do innego załomu rzeki. Był tu jakiś *château*, położony przy miasteczku, sam w głębi rozległego parku. Stare, rozeschłe lipy zaszumiały nad głowami słowiańsko, powiało chłodem i zapachniało jak miodem, aż wyjechali do rzeki. Mózgi trapiła jedna myśl: będzie most czy nie będzie?

Bo tu, w parku, miał być czwarty most, prywatny. Może Niemcy zapomnieli, może nie zdążyli? Gdzieś po prawej zamigotał jasną plamą trawnik i jaśniejszą jeszcze, bo białą, wysokodachy *château*. Przewalili się mimo. Co ich to mogło obchodzić: most! Aleja druga, trzecia, po głowach wystających z wież łomotały niskie gałęzie, aż naraz rozchyliły się. Przed nimi były tamten brzeg, rzeka i — most.

Sam porucznik dobiegł ze swego czołgu do mostu stwierdzić, czy nie podminowany. Nie. Jego czołg ruszył teraz przodem. Przejechał szybko most — aż się zachybotał grat, bo nie był to żaden solidny most, a już na pewno nie na czołgi: taki prywatny, pański. Za chwilę za zakrętem, za którym znikł czołg dowódcy plutonu, posłyszało się strzały, ale tylko z karabinu maszynowego. Drugi czołg dał gazu i przez most. Tymczasem ogrodnik Francuz wskazał załodze „Nelly” co innego. Oto rano był tu polski patrol, o świcie samym, i przepłoszył Niemców; ale jeden nasz padł. Sama *madame* grób mu tu kopała. Ognik odgarnął w krzakach przy samej drodze płytką, świeżutką mogiłę. Był na niej krzyż, a na tym krzyżu hełm angielski, piechotny, z wymalowanym orłem. I podchorąży kazał znieść te wszystkie kwiaty, bukiety, wieńce, wiązanki, te róże i piwonie, i myosotisy, i georginie, i jak tam jeszcze, tę całą kwietną wdzięczność Francji, jaka zwała się, oplatając stal polskiego czołgu — i obsypać nimi tę płaską mogiłę bez nazwy. I tak było lepiej niż rzucić to gdzieś do rowu, jak chciał niegodny Józek, a zarazem odciążyło to czołg od tej zaszczytnej, ale zbyt barwnością widocznej pstrokacizny. Mógł iść do walki. I kiedy już za mostem oglądnał się jeszcze telegrafista,

widział, jak koło drogi i mostu na rzece, której nawet nie znali nazwy, kwiatami wypiętrzył się jeszcze jeden żołnierski grób polski na ziemi obcej, gdzie wyrósł znacząc powrót wolności.

Nocny postój zastał ich chyba dwadzieścia mil za tą przeprawą, może mniej, a może i więcej, trudno to dziś powiedzieć, bo szwadron i pułk poszły wtedy mocno do przodu, ale na noc, jak to zwykle, cofnęły się o parę kilometrów. Tę drugą połowę dnia przebyli w walce. Niegroźne to było, bo ani ppancy, ani czołgów, ot — moździerze, karabiny maszynowe, a najwięcej to uciekających Niemców. Dwa czołgi, to prawda, dostały, ale „Nelly” nawet mało strzelała. Niemniej wieczorem byli tak pomęczeni, że się nie babrali w tym, co tam w czołgu przybyło. Nazajutrz od rana był marsz, a raczej pogoń, ale Niemcy odskoczyli byli jeszcze bardziej i pułk, dywizję prowadząc, walił na granicę belgijską. Ludzie na drogach stali i czekali, Józek zagarniał, co mógł, podchorąży rozsyłał saluty i uśmiechy, tylko Ambroży, kierowca, pocił się w swej jamie.

— Ambroś, coś dla ciebie: szkaplerze dają! — zawołał w pewnej chwili Józek.

Istotnie, z klasztoru, widnego opodal na górze, wyszedł biały sznur zakonników. Z podgolonymi głowami, bladzi w tej bieli habitów, wyglądali jak zjawa nie z tego świata, naraz zagubiona w tej wojnie. Tak sznur mnichów wyszedł na przelaj ciągnącemu sznurowi Cromwellów — i wieki średnie zmieszały się z tym, co dał światu okres postępu.

— Ambroś, dymaj, mówię, po sto dni odpustu — wołał Józek i dodawał: — panie podchorąży, a może

by my tak sobie z roczek postali z rękoma założonymy na brzuszku?

Ale ani Ambroś, ani podchorąży, ani nikt z załogi „Nelly” nie zdradzał wolteriańskich zapędów, a i sam Józek, gdy czołg doszedł na wysokość mnichów, przegnął się, jak inni, wielkim znakiem krzyża. A właśnie na czele stojący dominikanin, bardzo chudy, o błyszczących oczach i nieziemskim jakimś uśmiechu, podniósł krzyż i tym krzyżem wysoko w górze, powoli i uroczystie, błogosławił jadącym czołgom. I tak kolejno mijały go Cromwelle 10 pułku, i widać było, jak załogi stojące w wozach powtarzają ten znak krzyża — tak jak powtarzają go ludzie, kiedy wiedzą, że chwila ostatnia może przyjść na nich niebawem, spodziewana i niespodziewana, i może wtedy, gdy przyjdzie, zabraknie im i sił, i czasu, aby tym znakiem świętym ten świat pożegnać. A jakoś w pół godziny chyba potem, a może i wcześniej, naraz zamiast chorągiewek niebiesko-biało-czerwonych — czerwone, żółte i czarne. I w oknach portrety z jakimś młodym przystojniakiem i blondyną z trojgiem ładnych dzieci.

— Wjechaliśmy w Królestwo Belgijskie! — skonstatawał uroczystie radiotelegrafista.

— Jezu, Maryjo, gdzie ta granica? Człowiek nie uspiął nawet zobaczyć swoje rozstanie z Francją, sojuszniczką tam i nazad, a już nowego alianta okupowanego wyzwala. Jak tak dalej, to może na wieczór ujrzymy te ich wiatraki holenderskie z krowamy?

Ten ostatni komentarz pochodził, rzecz prosta, od Józka.

Ale gdzieś za nimi w wysokim sztabie kazano stawać stosunkowo wcześniej po południu. Był czas na wymycie

się i na pitraszenie, no i na zrobienie nareszcie jakiegoś porządku z tym bajzlem w czołgu, jak powiedział podchorąży.

Szczodre dary Francji odbywały teraz drogę powrotną. Wędrowały z głębi czołgu znowu na zewnątrz, nawet przez tę samą klapę, przez którą opuściły je sprawne ręce Józka. On sam wlaźł teraz do środka i podawał po kolei radiotelegrafście, a strzelec główny i Ambroży, usiadłszy w wykopanym dole, segregowali mienie. Butelki szły do butelek, jabłka do jabłek, masarskie produkty Francji osobno, osobno sery, camembery, chleby, oselki masła. Wszystko to odbywało się wolniej niż przedtem i systematyczniej i radiotelegrafista w ogólnej ciszy wyliczał:

— Czwarty szampan, trzeci ser, piąty szampan, szósty szampan, czwarte masło, czwarty ser, drugi kirsch, wędzonka, druga wędzonka, siódmy szampan, piąte masło, chłopaki, nie umrzemy z głodu, *vive la France!* Józek, podawaj dalej. Trzeci kirsch, ósmy szampan...

Był to dobry radiotelegrafista i sztuka nadawania i przyjmowania 110 liter na minutę jest, jak widzimy, dobrą zaprawą dla mózgu.

Ale właśnie coś po ósmym szampanie, a przed trzecią wędzonką — nawet on utknął:

— A to co? Jakby książka? Książka, jak Boga kocham: stara, do nabożeństwa jakby. Ambroś, to dla ciebie suvenir od Francji, módl się za nas, żebyśmy nie zginęli w kwiecie życia... Trzecia wędzonka. Chleb...

Ambroś, któremu książka przypadła w udziale, odłożył ją na bok i dopiero potem, kiedy radiotelegrafista

z' podchorążym poszli po coś tam do szwadronu, a Józek ze strzelcem głównym zajęli się kolacją, otworzył książkę. Ambroś lubił książki, co było tym dziwniejsze, że czytanie przychodziło mu z trudem. Nie był on młody, Ambroś, nie, i podsiwiały dobrze. Nie był też analfabetą: jakżeby! Ale należał do tej klasy pośredniej, która po dziś dzień u nas istnieje i lepiej czyta „drukowane” niż „pisane”, duże litery niż małe, w gazetach przeważnie tytuły depesz, a z książek najchętniej książki do nabożeństwa. Ambroś nauczył się szoferki, prowadził czołg spokojnie i pewnie, ale sztuka czytania była niebezpieczną rafą, którą najchętniej omijały fale jego inteligencji. Ambroś za to był ciekawszy „pisanego” niż niejeden dyplomowany. Pomimo dworowań Józka jego autorytet w „Nelly”, a nawet w plutonie, był duży i kiedy w jakim silniku czy broni był defekt jaki, na postoju walono do Ambrosia.

— Panie kapralu, coś mi się w tej bizie zablokowało...

— Zablokowało? Co się tam w bizie zablokować może? No, pokażże, kochaneńki, popatrzę ci ja... O, widza... Już ja ci to zrobia, a ty mnie poczytaj, o, w tej gazecie, co pod ta fotografia...

— I... to jakaś stara gazeta. I co ta to w niej! Wódz naczelny, że furt całuje junaków...

— Stara nie stara, całuje nie całuje, a poczytaj. Od razu robota sama idzie, jak kto z boku czytający...

To był jeden z trików Ambrosia. Toteż kto wołał sbbie pysk strzępić, dukając nawoływania do boju „Polski Walczącej”, zamiast mieć ręce w smarze, a i pokrwawione czasem — walił do Ambrożego.

— Ale kiedy nawet na „zablokowane” bizi panował

„mortus”, Ambroś, pozbawiony lektury, wiercił się i zagadywał:

— Józek?

— A czegoś?

— Ot, masz, siądź, poczytaj mi...

— Że co?

— Poczytaj, mówię.

— Akurat. Sami to nie możecie czy co?

— Móc mogie, ale mi na oczy niedobre pod wieczór...

— Jaki tam wieczór: piąta.

Jeśli działania wojenne zaczynały się dla Ambroźego tak niepomysłnie, zwykle przychodził mu sukurs. Najczęściej podchorąży odrywał się od listu do którejś narzeczonej, patrzył na Józka pytająco i zaczynał:

— Nic by wam się nie stało, jakbyście tak poczytali kapralowi...

— A co to? Strzelec przedni belfer, a kierowca ministrowa, żeby mu czytać?

W takich wypadkach podchorąży nigdy nie podnosił głosu. Zniżał go nawet, ale mówił tym dobitniej:

— Nie. Ale kolega.

Raz sam wziął gazetę i przeczytał całe sprawozdanie o bezzarzutnej działalności PCK oraz rubrykę „Polacy przebywający w Teheranie” od Nr 9823, Wrzuszczak Józef z Turki, do Nr 10110, Zwierzchowska Helena, z domu Kracewicz, z Drui. Toteż Józek przestał już czekać na interwencję podchorążego i wołał kapitulować zawczasu. Mścił się za to na samej gazecie, opatrując swoimi komentarzami wywiady generalskie, odpowiednie polityczne Zbigniewa Grabowskiego, wiersze wojenne, misje dziejowe i tym podobny materiał, wchła-

niany przez Ambrożego ze słodką, wileńską rezygnacją. Ach, używał sobie na nich i wyżywał się, a tak soczyście, że ani sposób części tego przytoczyć, i tylko chwilami Ambroś zerkał na stronę i upominał:

— A ciebie już tak koniecznie, żeb gdzie jaki dośłyszał? Z „dwójką” chcesz znowu mieć, chcesz?

I Józek ścichał.

Teraz, kiedy tamci smażyli na maszynie świeże ziemniaki z jajami, cebulą i kaszanką, Ambroś nabożnie otworzył książkę. Powiódł po jej marmurkowej oprawie swoją szorstką, ciężką dłońią, obejrzał skórzany grzbiet, powąchał. Tak, to nie była zwyczajna książka, ale jakaś starodawna i nawet przeleżawszy tyle już godzin w czołgu, nie nasiąkła odorem smarów czy spalin, ale zachowała dalej jakiś nieuchwytny zapach zamknięcia i starzyzny. Z tym większym nabożeństwem Ambroś otworzył książkę. Niestety, karta tytułowa była naddarta, mógł przeczytać tylko słowo „KSIĘG...”, a na dole, acz z trudem, „Paryż, druk. A. Pinard, 15 Quai Voltaire”. Dalej było po polsku: „Roku pań. 1832; 32°, str. 125”. Po polsku była nawet cena: „2 Złp 15 gr.” Natomiast autora nie było.

„Książka do nabożeństwa” — pomyślał znowu. A wignetka, religijnego typu, utwierdzała go w tym przekonaniu.

Na drugiej stronie zauważył zbrunatniały od starości atramentowy napis. Litery były wykaligrafowane wyraźnie, acz na pewno starszą już ręką. Niezrozumiały dla Ambrosia napis brzmiał:

*Ce livre appartenait
à feu mon père
Erasmus Klobukowski*

*officier au 10-me Reg. Pol.
des Chasseurs à Cheval.
Dieu veille sur son âme!*
A. de M.*

— Kłobukowski — męczył się chwilę Ambroży — Kłobukowski? Był Kłobukowski w Nowoświęcianach; jest dużo Kłobukowskich. Jest u nas w pułku podchorąży Kłobukowski.

Zerknął z przyzwyczajenia na Józka. Ale ten był zajęty rozpalaniem ognia.

— Te, Ambroś, a może byś ty nam poczytał na ten raz jeden? — uprzedził atak.

— Ano jak tam, Ambroś — zażartował strzelec główny. — Małośmy się dla ciebie naczytali?

— No ale co, to książka cała, nie widzicie — bronił się Ambroży.

— Gdzie popadnie; byleś poczytał — i w oczach mieli złośliwe uśmiechy. Tręcili się łokciami.

Nie było rady. Ambroś popatrzył na otwartą właśnie stronicę. Druk był wyraźny, czysty; nie jak w gazecie; ale właśnie jak w książce do nabożeństwa. Poza tym było dużo białych miejsc i zdań zaczynających się od dużej litery. I jakoś naraz wydało się staremu kapralowi, że sprosta czytaniu, więc wziął i zaczął czytać tam, gdzie otworzył. Było spokojnie na polu i tylko wsunięta popod czołg szypiała maszynka, kiedy naraz odezwał się niepewny a modlitewny i uroczysty jakiś głos Ambrosia:

A kiedy mówią o wojnie Waszej dla zbawienia Narodów, nie przeczą, iż dobrze zrobiliście, ale powiadają,

* Książka ta była własnością śp. ojca mojego Erazma Kłobukowskiego, oficera 10 pułku strzelców konnych. Boże, czuwaj nad jego duszą! (Przyp. aut.)

iz niewczesnie, jako doktorowie wyrzucali Chrystusowi, iz w szabas smial ludzi uzdrawiac, i krzyczeli: godzi-li sie w szabas uzdrawiac?

Przeczytał i jakby się zląkł, czy czytać ma dalej. Podniósł oczy i zgubił tekst, który czytał. Natrafił na inny, jakby od początku rozdziału, nawet nadstrzępiony, i czytał:

Słyszycie, iz mówią: tam Ojczyzna, gdzie dobrze; a Polak powiada Narodom: tam Ojczyzna, gdzie źle, bo gdzie tylko w Europie jest ucisk wolności i walka o nią, tam jest walka o Ojczyznę, i za tę walkę bić się wszyscy powinni.

Powiadano dawniej Narodom: nie składajcie broni, póki nieprzyjaciel trzyma jedną piędź ziemi Waszej; ale Wy powiadajcie Narodom: nie składajcie broni, póki despotyzm trzyma jedną piędź ziemi wolnej.

Bo i Francuz, i Anglik, i Niemiec bronią własności swej i nienawidzą nieprzyjaciół swych. A przecież, kiedy Francuz i Anglik, i Niemiec podróżują między Ludami, tedy Ludy nie wychodzą spotykać ich i śpiewać im pieśni ich.

A Was spotykają i ugaszczają, i śpiewają Wam pieśni Wasze, bo czują, że Wy wojujecie za wolność świata.

Czytał teraz dłużej, nie przerywany, aż rozdział cały się skończył, ale krótki, i nowy zaczął:

Gdy przyjdziecie do miasta jakiego, błogosławcie mu mówiąc: Wolność nasza niech będzie z Wami. Jeśli Was

przyjmą i usłuchają, tedy wolni będą; a jeśli Wanii, wzgardzą i nie usłuchają Was, i wypędzą, tedy błogosławieństwo Wasze do Was powróci.

Ambroś przystanął. Czy sam się dziwił słowom, które przez siebie mówione słyszał? Czy coś się w nim odezwało, chociaż sam jeszcze nie wiedział co? Była prawie groźba w tych słowach ostatnich i sam się jej jakby przelał, że zamilkł — tak jak zamilkli i tamci.
— No? — zapytał tylko Józek.

Odchodząc z miasta i kraju bezbożnego, niewolniczego i ministerialnego — czytał dalej trudne słowa Ambroży — otrząście proch z obuwia Waszego, a za prawdę powiadam Wam, iż złej było Tulonowi i Nantes, i Lugdunowi w dniach Konwencji, niżli będzie miastu onemu w dniach Konfederacji Europejskiej.

Do czołgu podszedł kierowca z innego plutonu o coś poprosić czy zapytać. Posłuchał chwilę i zagadnął Józka półgłosem:

— Przepowiednie?

A gdy Józek potaknął tylko głową, słuchali dalej. Było ich już siedmiu.

Albowiem gdy Wolność zasiędzie na stolicy świata — czytał Ambroży, oparty o błotnik Cromwella, właśnie jakby modlitwę czytając — będzie sądzić narody.

I rzeknie do jednego narodu: oto byłam napastowana od zbójców i wołałam do ciebie, narodzie, o kawał żelaza do obrony i o garść prochu; a tyś mi dał artykuł gazety. A naród ów odpowie: Pani moja, kiedyż wołałaś

do mnie? I odpowie Wolność: oto wołałam ustami tych pielgrzymów, a nie słuchaliście mnie; idźcie więc w niewolę, kędy będzie świst knuta i chrzest ukazów.

I rzeknie Wolność do drugiego narodu: oto byłam w utrapieniu i w nędzy i prosiłam ciebie, narodzie, o opiekę prawa i o opatrzenie; a tyś na mnie rzucał ordonansami. I odpowie naród: Pani moja, kiedyś przychodziła do mnie? I odpowie Wolność: przychodziłam do ciebie w stroju tych pielgrzymów, a tyś mną wzgardził; idźże więc w niewolę, kędy będzie świst knuta i chrzest ukazów.

Zaprawdę mówię Wam, iż pielgrzymstwo Wasze stanie się dla mocarstw kamieniem obrazy.

W tym miejscu kończyła się strona i dwie następne kartki z trudem dawały się odlepić; Ambroży, który łatwiej sobie dawał radę ze świecą lub ze starterem niż z książką, rozlepił je, ile mógł, z trudem. Ale zauważył przy tej czynności, że wokoło niego i za nim ucichło, przystanęło i zasłuchało się coś znacznie więcej ludzi.

Po chwili słyhać było ten sam niewprawny w czytaniu, śpiewny jakiś głos Ambrożego:

Odrzucili mocarstwa kamień Wasz od budowy europejskiej, a oto kamień ten stanie się kamieniem węgielnym i głową przyszłej budowy, a na kogo on upadnie, tego skruszy; a kto nań potknie się, ten upadnie i nie powstanie.

A z wielkiej budowy politycznej europejskiej nie zostanie kamień na kamieniu.

Bo przeniesiona będzie stolica Wolności.

Jeruzalem, która mordujesz ludzi mówiących o Wol-

ności, mordujesz Proroki twoje; a lud, który morduje Proroki swe, uderza sam siebie w serce swoje, jako szalony samobójca.

I potem już, sam nie wiedząc, jak go zebrało, czytał Ambroś dalej o rządcach francuskich i mędrkach francuskich, co obiecywali wolność, i o rządcach i mędrkach angielskich, i o kupcach i handlarzach obojga narodów, co *przysłali pieniądz na zgnębienie wolności*. Tak, były to niezawodnie przepowiednie.

...a oto przyjdą dni, iż będziecie lizać złoto Wasze i żuć papier Wasz, a nikt Wam nie przyśle chleba i wody...

Mowa książki była niejasna, zwyczajnie jak w takich przepowiedniach bywa, ale chwilami wydawała się im jaśniejsza niż wszystko, co jest wokół nich obecnie. Ciemniało tak, że zapalić musieli światło reflektora, obłożywszy je tylko kocami. Poprzez ten *black-out* i spoza tych płacht w gęstniejącym chłodzie mroku widniała oświetlona rzęsiście niewielka stara książka i dochodził łamiący się głos czytającego:

Panie Boże Wszechmogący! Dzieci narodu wojennego wznoszą ku Tobie ręce bezbronne z różnych końców świata. Wolają do Ciebie z głębi kopalni sybirskich i ze śniegów kamczatskich, i ze stepów Algieru, i z Francji, ziemi cudzej...

Tu głos Ambrożego załamał się nagle, zatrzymał chwilę, aż podjął:

...i z Francji, ziemi cudzej. A w Ojczyźnie naszej, w Polsce wiernej Tobie, nie wolno jest wołać do Ciebie! i starcy nasi, kobiety i dzieci modlą się do Ciebie w skrytości, myślą i łzami. Boże Jagiellonów! Boże Sobieskich, Boże Kościuszków! zlituj się nad Ojczyznę naszą i nad nami. Pozwól nam modlić się znowu do Ciebie obyczajem przodków, na polu bitwy, z bronią w ręku, przed ołtarzem zrobionym z bębnow i dział, pod baldachimem zrobionym z orłów i chorągwi naszych; a rodzinie naszej pozwól modlić się w kościołach miast naszych i wiosek naszych, a dzieciom na grobach naszych. A wszakże niech się stanie nie nasza wola, ale Twoja. Amen.

I naraz wszyscy, co słyszeli, razem z Ambrożym sami już powiedzieli to: Amen.

Wtedy zaś tak jakoś stało się samo, że wszyscy poklękali naraz, ledwo Ambroś przeczytał — dużymi literami stało w książce — „LITANIA PIELGRZYMSKA”. Więc kiedy tylko przeczytał to „litania”, to najpierw poklękał ten i ów, a potem inni w tym mroku, bo już całkiem się ciemnawo zrobiło, i odpowiadali, kiedy ten czytał:

*Kyrie Eleyson, Chryste Eleyson,
Boże Ojczy, któryś wywiódł lud Twój z niewoli egipskiej i wrócił do Ziemi Świętej,
Wróć nas do Ojczyzny naszej.
Synu Zbawicielu, któryś, umęczony i ukrzyżowany,
z martwychwstał i królujesz w chwale,
Zbudź z martwych Ojczyznę naszą.*

I szła nie znana przedtem litania, polska i bliska, aż nauczyli się powtarzać jak w kościele:

*Przez męczeństwo obywateli Oszmiany wyróżnionych
w kościołach Pańskich i w domach,
Wybaw nas, Panie.*

*Przez męczeństwo żołnierzy zamordowanych w Fischau
przez Prusaków,
Wybaw nas, Panie.*

*Przez krew wszystkich żołnierzy poległych w wojnie
za Wiarę i Wolność;
Wybaw nas, Panie.*

*Przez rany, łzy i cierpienia wszystkich niewolników;
wygnańców i pielgrzymów polskich;
Wybaw nas, Panie.*

*O wojnę powszechną za Wolność Ludów,
Prosimy Cię, Panie.*

*O broń i orły narodowe,
Prosimy Cię, Panie.*

*O grób dla kości naszych w ziemi naszej,
Prosimy Cię, Panie.*

I tego dnia przesłępli nawet wieczorny komunikat z walk warszawskich, a nie przesłępiali go nigdy.

Książka odtąd była już z nimi.

Jakoś w dobre kilka tygodni potem w pewnym londyńskim hotelu biedzono się nad nadesłanym aż z Holandii meldunkiem:

„...zlecone mi zadanie wysłedzenia, czy pobyt we Francji, od dawna znanej z rozkładczych i demoralizujących tendencji, a obecnie szczególnie silnie podmi-

nowanej rewolucyjną zarazą, nie działa na żołnierzy I Dyw. Panc. — starałem się wypełnić z całą służbową gorliwością. Obawy, jak i przewidywania były całkowicie uzasadnione. Co prawda, postój pod Bayeux był za krótki, następnie walki pod Falaise zbyt zajmowały uwagę, by już wtedy wpływy podziemne na zwartość moralną dywizji mogły odpowiednio podziałać. Jak jednak nawet krótki pobyt we Francji może się okazać destruktywny, tego dowodem jest następujący, wykryty przeze mnie — nie bez trudu i kosztów (rachunek załączam) — wypadek...”

Po czym w tymże tonie utrzymany był meldunek, że do jednego z czołgów pułku rozpoznawczego podczas rajdu na Saint-Omer („gdzie jeszcze przed wojną, jak wszędzie w skupiskach przemysłowych i robotniczych, macki Kominternu były szczególnie ruchliwe”), podrzuciono „agit-broszurę w języku polskim, zręcznie zamaskowaną w formie modlitew i prorocत्व”, która niemniej zawiera „typowo wywrotowy materiał”. Jest tam przede wszystkim „stałe, niestety, zjawisko na emigracji podważania autorytetu władz wojskowych (świadczy o tym już taki ustęp: «Na jakich ludziach Ojczyzna Wasza największe pokładała nadzieje...? Nie... na ludziach, którzy dawniej wojny robili i wyuczali się najlepiej maszerować i szykować, i rozprawiać o wojnie... ale na pocziwych żołnierzach cudzieź młodzieży». Czy to nie stały slogan wywrotowej propagandy?). Podejrzane jest również stanowisko w sprawie granic: «Alboż kłóci się Litwin z Polakiem o granice Niemna i o Grodno, i o Białystok?» Dosłownie! Cóż zaś powiedzieć o następującym passusie: «A Polak (cytuję dosłownie — pisał gorliwiec) mówi Francuzom i Anglikom:

jeśli wy, dzieci wolności, nie pójdziecie za mną, tedy Bóg odrzuci plemię wasze, a rozbudzi obrońców wolności z kamieni, to jest z Moskalów i z Azjatów!» Oto dosłowne brzmienie. A jeszcze są i takie zdania, jak: «i będziecie wołać do młota, do ludu waszego». Nie ma nic o sierpnie, ale chyba jasny jest ten młot. Jest i wiele innych podobnych aluzji”.

„Jak udało mi się stwierdzić — kończył meldunek — owa bibuła wywrotowa była nawet czytana głośno. Jeśli tak późno o tym zawiadamiam, to jedynie dlatego, że nasza praca wywiadowcza w tej formacji natrafia, niestety, na nieprzewidywane przeszkody. Znany jest fakt, że i dawny, i obecny dowódca pułku nie odnosili się z należytych zrozumieniem do pracy wywiadu na terenie własnym i nawet oficerowie wywiadowczy poświęcali nadmiernie wiele uwagi npl-owi, zaniedbując właściwe zadania II Oddziału. Robiłem z mej strony, co mogłem, aby temu zaradzić i na własną rękę rozpiąć w pułku odpowiednią sieć informacyjną. Jest to jednak szczególnie trudne z uwagi na fakt, że pułk rozpoznawczy, będąc stale w akcji, jest bardziej niż inne narażony na straty, a najwytrawniejsi nasi ludzie nie bardzo się kwapią, jak wiadomo, do pierwszej linii”.

Meldunek, jak się zdaje, spowodował dłuższą kryptonimową korespondencję pomiędzy londyńską centralą a kontynentalnym gorliwcem, prowadzoną jemu tylko znanymi i właściwymi drogami. Specjalnie wykwalifikowani rzeczoznawcy, sprowadzeni (za zwrotem kosztów i dietami) z Edynburga, biedzili się nad wyjątkami z podejrzanej broszury, nadsyłanymi tymczasem z kontynentu. I dopiero jeden z nich, który kiedyś nawet złożył maturę, mógł uspokoić czujność kolegów. Bro-

szura była naprawdę wydana w 1832 roku. Napisał ją wtedy — choć nie podpisał nigdy — niejaki Adam Mickiewicz, za życia i na emigracji pomawiany zresztą często i gęsto przez ówczesnych gorliwców o rusofilstwo, słowianofilstwo i żydokomunę. Nazywała się zaś *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego*.

Nikt tylko nie dowiedział się i zapewne nie dowie się już nigdy, jakimi drogami dojrnęła ta własność polskiego oficera i emigranta do wnętrza polskiego czołgu, sunącego latem po wojennych drogach Francji. Nazwisko Erazma Kłobukowskiego z 10 pułku strzelców konnych Gwardii występuje parokrotnie w annałach tamtej emigracji. Brał on udział w socjalistycznej Gromadzie Humanów, gdzie żołnierze i oficerowie żyli w braterskiej komunie, z Bemem szykował się do Portugalii, ale i w Hotelu Lambert był kiedyś na obchodzie powstania. Potem znikł z widowni zupełnie — i dopiero teraz wojna wyorała ostatni po nim ślad. Jedno w każdym razie było sądzone temu wygnańcowi: książeczka, z której ongiś modlił się o broń i orły narodowe, i o wojnę powszechną za wolność ludów, trafiła nie tylko pod strzechy wieśniacze, ale i pod blachy pancerne polskich czołgów.



Projekt okładki i układ graficzny

Janusz Bruchnalski

Ilustracja na okładce

Marek Pietrzak

Redaktor

Marek Halawa

Redaktor techniczny

Maria Banach

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978

Wyd. I. Nakład 40 000 + 283 egz.

Ark. wyd. 2,4. Ark. druk. 4,25

Papier druk. mat. kl. III 92×114, 65 g

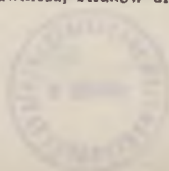
Oddano do składania 11 I 1978

Podpisano do druku 11 V 1978

Druk ukończono w lipcu 1978

Zam. nr 768/78 Cena zł 10.—

Drukarnia Wydawnicza, Kraków ul. Wadowicka 8



Ksawery Pruszyński (1907),
kieszyniowy na Wołyniu. Student.
Od 1931 roku współpracownik
portażysta i publicysta. Młody
Literackich" w Hiszpanii

cie ogłosił reportaże *W czerwonej Hiszpanii* (1937). Podczas
wojny odznaczył się w kampanii norweskiej, o której pisał w po-
wieści *Droga wiodła przez Narvik* (1941). Pracował z ramienia
rządu gen. Władysława Sikorskiego w polskich placówkach dy-
plomatycznych w Londynie, Moskwie i Kujbyszewie. W 1944
walczył na froncie zachodnim. W latach 1945—1950 reprezen-
tował Polskę Ludową jako poseł i minister pełnomocny w Hol-
landii. Po wojnie największy rozgłos przyniosły mu opowiadania
zebrane w zbiorach: *Trzyście opowieści* (1946) i *Karabela
z Meschedu* (1948).

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14



90848